

odgłosy



27. IX. 1970 r.
39 (671)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

WŁADYSŁAW MARIA GRABSKI

Trudne problemy kształcenia

W obozie socjalizmu pod względem kształcenia kadr z wyższym wykształceniem Polska jeszcze w 1954 r. zajmowała drugie miejsce. Współcześnie jesteśmy na jednej z najdalszych pozycji. Już w 1964 r. na 10 tysięcy ludności w ZSRR kształciło się 156 studentów, w Czechosłowacji 103, w Bułgarii 101, na Węgrzech 91, w Polsce zaś 74. W okresie V Zjazdu informowaliśmy, że został przekroczony wskaźnik 80 studentów. Porównując z bardziej szczegółowymi danymi radzieckimi, moglibyśmy szukać od powiedników naszego tempa i poziomu rozwoju oświaty średniej i wyższej z takimi republikami jak Białoruś, Uzbeki, Kazachstan, Mołdawia, Tadżykistan i Turkmienistan, ale nie innymi. Świadczy to niewątpliwie o dynamizmie przemian dokonywających się w ZSRR i dalekowzrocznej polityce tego państwa, traktującego naukę jako bezpośrednią siłę wytwórczą, a oświatę jako czynnik najbardziej opłacalnego perspektywnie inwestowania. Podobny proces ma miejsce i w NRD, gdzie dokonywana się reforma systemu szkolnego wyprzedziła o co najmniej dziesięciolecie nasze techniczne i praktyczne możliwości.

Jeszcze bardziej wymowne są dane przed stawiające procent wzrostu absolwentów szkół wyższych w stosunku do ogółu zatrudnionych w sąsiadujących z nami państwach (cyt. za A. Świecki, Oświata i szkolnictwo w Polsce Ludowej, W-wa 1968).

kraj	zatrudnienie ogółem	absolwenci szkół wyższych
ZSRR	100	159,0
CSRS	100	132,3
NRD	100	105,7
Polska	100	133,2

Dalszy ciąg na str. 3



Fot.: W. Parys

DR TADEUSZ POKLEWSKI

Emocje odkrywczy

Lat temu piętnaście pewien łódzki dziennikarz powiedział mi: — „Panie! Cóż tu ciekawego? Ja przed wojną widziałem grobowce faraonów, widziałem Adfa. A tu?

Tych kilka kamieni?” Staliśmy wtedy między triforiami południowej wieży kolegiaty tumskiej w gronie moich współtowarzyszy pracy.

„Coś Pan ciekawego wykopał? To? Przecież tu nic nie widać!” Już pełnych dwadzieścia lat towarzyszy mi w codziennej pracy takie właśnie zdumienie spektatorów. Tyle też i lat cierpliwego tłumaczenia, że nie tylko Biskupin i freski z Faras... Ze istotą naszych badań jest chęć zdobycia całej wiedzy o człowieku, którego już nie ma, o jego życiu, mieszkaniu, pracy, jedzeniu, zabawach, wierzeniach i sztuce. Naturalnie zjawiska oddziałujące na nasze doznania estetyczne bardziej nam wpadają w oko, tylko, czy rzeczywiście dotyczą one najważniejszych dziedzin życia? Emocje towarzyszące rozwojowi poznania wcale nie muszą wzrastać wprost proporcjonalnie do potocznie rozumianej efektywności znaleziska. To

wcale nie grobowiec faraona musi wzbudzać najwięcej dreszczów i wzruszeń. Czasem to jest kilka z trudem wypatrzonych na piasku smug ciemniejszej barwy. Miałem już okazję uczestniczyć w nie jednym odkryciu. Każde z nich dostarczyło z pewnością wielu przeżyć i emocji, po każdym też został jakiś ślad. Wryły się one w pamięć badacza i trwają w niej do dziś, zachowując świeżość rysunku i barwy chwili odkrycia. Tak jest z pierwszym takim faktem sprzed lat dwudziestu, kiedy to na grodzie tumskim wydobyliśmy ze średniowiecznej studni figurkę falliczną, a potem wielki kielich drewniany. To były oczywiście dowody przetrwania daleko w głąb średniowiecza pewnych elementów magii i wierzeń pogańskich. I to na grodzie książęcym, stołecznym, niemal pod bokiem Księcia Państwa i władającego kolegiatą łęczycką arcybiskupa gnieźnieńskiego, najwyższego hierarchy kościelnego w Polsce! Gwoli równowagi warto tu dodać, że równą rado-

ścią napełniło nas, młodych wówczas archeologów, znalezienie w tejże studni, w kilka dni później zupełnie niemal nie zniszczonego, a w każdym razie całego, drewnianego wiaderka z dębowych klepek. Był to jeszcze wtedy unikat w Polsce.

A potem, w 1954 roku, odsłonił się ślad starszej budowli w obrębie kolegiaty w Tumie pod Łęczycą. Owa „abbatia Sancte Marie in castello Lancie”, o której źródło tylko tyle i której od tak dawna szukali historycy, nagle pojawiła się w działaniu i dotykała. Mało tego: układ warstw wokół fundamentów zdradził trzy sposoby, jakich się chwycił budowniczy tego opactwa, by sobie pracę ułatwić, by przewyciężyć niezmiernie uciążliwą konieczność czynienia szerokich i głębokich wykopów w niezwykle twardej i ciężkim gliniastym gruncie.

Dalszy ciąg na str. 4



Krach w Południowym Wietnamie

„U.S. NEWS AND WORLD REPORT” — WASZYNGTON

Znowu nagromadziło się wydarzeń politycznych co nie miara. Z 98-punktowym porządkiem dziennym rozpoczęła się jubileuszowa sesja Organizacji Narodów Zjednoczonych, która w części, z udziałem wysokich przedstawicieli rządów, będzie miała uroczysty charakter; bardziej jeszcze skomplikowała się sytuacja na Bliskim Wschodzie: Golda Meir w Waszyngtonie podniosła cenę przystąpienia Izraela do pośrednich rozmów pokojowych, w Jordanii toczą się krwawe starcia między palestyńskimi komandosami a wojskami rządowymi, a prez. Nixon — „gdy będzie tego wymagała sytuacja” — gotów jest w każdej chwili podjąć interwencję zbrojną w tym kraju; na 84 posiedzeniu konferencji paryskiej delegacja Tymczasowego Rządu Rewolucyjnego Wietnamu Południowego wystąpiła z kolejną inicjatywą pokojową... Do długiej listy aktualności dodać trzeba zapowiedź nowej europejskiej podróży Nixona, kolejne wstępne rozmowy przedstawicieli trzech mocarstw zachodnich przed ważną rundą rokowań na temat Berlina zachodniego, debatę w Bundestagu na temat polityki wschodniej Brandta, gdzie starty się różniły w tej kwestii stanowiska i nowe oświadczenie kanclerza NRF o układowie moskiewskim oraz inne, mniejsze, lecz znaczące w polityce międzynarodowej wydarzenia.

Z tej mnogości faktów politycznych, jaką przyniosły ostatnie dni, celowy jest wybór dwóch: ROZWOJU WYDARZEŃ BLISKOWSCHODNICH (który to już raz w ostatnim okresie!) oraz NOWYCH PROPOZYCJI NA KONFERENCJĘ PARYSKIEJ. Te bowiem z aktualnych są najaktualniejsze.

W chwili, kiedy przygotowuję komentarz do druku, w Jordanii toczą się bratobójcze walki. Ich przyczyną dopatrywać się trzeba w tragicznym losie ok. 2 mln palestyńskich uchodźców, z której to liczby znaczna część wegetuje w prowizorycznych warunkach od 1948 roku, nie mając szans powrotu znad Jordanu do swej ziemi ojczystej. Walka, jaką toczą o ten powrót, często prowadzi do desperacko, już niejednokrotnie była powodem napięć z królewskim rządem Jordanii, który uważa, iż nie jest ona zgodna z jego racją stanu.

Jej nowy wybuch — niestety — jest przysłowiową wodą na młyn izraelskiej niezmiennie antypokojuwej polityki. Wykorzystywany jest oczywiście również przez Stany Zjednoczone. Właśnie zaobserwowano przesuwanie okrętów VI floty amerykańskiej w północnej części Morza Śródziemnego, co, jak wiemy z doświadczenia, nie wróży nic dobrego. Tym bardziej, że napływają doniesienia o możliwości interwencji w konflikt z zewnątrz. Jak dalece skomplikowałyby to i tak złożoną sytuację bliskowschodnią — zbędne jest wyjaśniać.

Na temat konfliktu jordańskiego opublikowano ostatnio oświadczenie agencji TASS. Czytamy tam m. in.:

„Sytuacja w Jordanii i wokół niej wywołuje głębokie zaniepokojenie w Związku Radzieckim, wśród wszystkich przyjaciół spraw wolności i niepodległości narodów arabskich. Radzieckie kole oficjalnie wyraża nadzieję, że narody krajów arabskich, ich przywódcy i rządy oraz organizacje arabskie uczynią wszystko, co jest możliwe, aby położyć jak najszybciej kres bratobójczej wojnie w Jordanii i aby zapobiec niebezpiecznemu rozwojowi wydarzeń na Bliskim Wschodzie”.

Tymczasem, jak już się rzekło, w USA przebywała Golda Meir. Pojechała tam, aby wytargować dalszą pomoc dla swego kraju rzędu ok. 2 mld dolarów w ciągu 5 lat. Z doniesień agencji wynika, że takich rozmiarów wsparcia ekonomicznego i wojskowego nie otrzymała, ale też, że nie powróciła z pustymi rękami. Zreferowała ponadto Nixonowi i Rogersowi izraelskie rozszczenia terytorialne wobec ZRA, Jordanii i Syrii. Zdaniem obserwatorów tych rozmów, już tylko ten fakt (choćby nawet Izrael przystąpił do pokojowych rozmów za pośrednictwem Jarringa) nie rokuje pokojowych nadziei. Oczywiście, wydarzenia jordańskie, były w tych rozmowach ważnym argumentem w rękach premiera z Tel Awiwu.

Brak obecnie optymizmu co do rozwoju sytuacji na Bliskim Wschodzie — zrekompensujemy zapowiedzianym tematem nr 2 dzisiejszego przeglądu: konferencją paryską na temat pokojowego rozwiązania konfliktu wietnamskiego. Jak powyżej była już mowa, chodzi o nowe propozycje, jakie przez TRR złożone zostały na 84 posiedzeniu. Jest to precyzyjna interpretacja 10-punktowego programu, zgłoszonego 8 maja ub. roku. Istota nowej inicjatywy jest następująca: jeśli Amerykanie i ich sojusznicy zobowiążą się do wycofania swych sił z Południowego Wietnamu do 10 czerwca 1971 roku, to siły patriotyczne nie będą ich atakowały w czasie ewakuacji. TRR gotów jest podjąć rozmowy na temat gwarancji ewakuacji oraz uwolnienia jeńców amerykańskich. Równocześnie TRR będzie mógł podjąć rozmowy polityczne z każdym rządem sajsjońskim, opowiadającym się za pokojem, niezależnością i neutralnością, z wyłączeniem tylko: Van Thieu, Cao Ky i Khiema. Propozycje dotyczą także składu tymczasowego rządu koalicyjnego, któremu powierzono by przeprowadzenie wyborów, a więc udziału w nim: członków TRR, obecnej administracji sajsjońskiej oraz osobistości niez zaangażowanych w żadnym z tych rządów.

Taka interpretacja ubiegłorocznego, 10-punktowego programu wytrąca stronie przeciwnej wiele argumentów i może być czynnikiem wyjścia z impasu paryskich rozmów. Oczywiście wówczas, gdy Stany Zjednoczone okażą prawdziwe zainteresowanie politycznym rozwiązaniem konfliktu.

W. SŁAWSKI

W Południowym Wietnamie, z każdym dniem, narasta kryzys ekonomiczny, a jego władcom państwowym grozi druzgocąca klęska na tym, drugim froncie”. Aby ratować wojenną strategię Nixona, Stany Zjednoczone będą zmuszone do udzielenia Południowemu Wietnamowi ogromnej pomocy materialnej.

Amerykańskie kole rządzące są zaniepokojone faktem, że jeśli nie uda się za hamować gwałtownej inflacji i — ogólnie rzecz biorąc — kryzysu gospodarki Płd. Wietnamu, to w przyszłym roku władze sajsjońskie nie będą w stanie pokryć własnych wydatków wojskowych. W tej sytuacji zostanie podważony duch bojowy południowowietnamskich sił zbrojnych i wojska amerykańskie, oczekujące na powrót do kraju, znowu znajdą się na pierwszej linii.

A oto tylko niektóre — spośród mnóstwa — problemy ekonomiczne Płd. Wietnamu. Inflacja, w porównaniu z rokiem ubiegłym, spowodowała wzrost kosztów utrzymania o 53 procent. W sprawozdaniu za rok 1970 Międzynarodowy Fundusz Walutowy informuje, że inflacja w Płd. Wietnamie postępuje w tempie najszybszym w świecie.

Trzecia część ludności — urzędnicy państwowi, wojskowi oraz ich rodziny — znajduje się w kleszczach szybko rosnących cen i wy-

Czy rakiem można się zarazić?

Coraz więcej uwagi poświęcają onkolodzy hipotezie wirusowego pochodzenia nowotworów. Stąd myśl, że pozostawanie w bezpośrednim kontakcie z chorymi onkologicznie lub prowadzenie badań nad rakiem naraża, być może, lekarzy i naukowców na niebezpieczeństwo infekcji.

W życiu codziennym, z wyjątkiem szczególnych sytuacji, infekcja taka wydaje się nieistotna. W normalnych warunkach organizm ludzki jest widocznie dostatecznie odporny na zarażenie wirusem raka. W jednej z prac badawczych, przedstawionych na niedawnym kongresie naukowym w Houston (USA) podano, że 79 procent bliskich krewnych chorego na sarkomę posłade we krwi specyficzne przeciwciała, które dowodzą obronnej reakcji organizmu. W pewnych okolicznościach może ona być osłabiona albo wskutek skłonności genetycznych, albo wskutek skłonności hormonalnych (rak piersi, macicy, gruczolów krokowego), czy też wskutek oddziaływania fizyko-chemicznego (promieniowanie i palenie tytoniu wywołują raka skóry i

„LE MONDE” — PARYŻ

pięć), lub wręcz przeciwnie przy zaburzeniach przemiany materii.

W ośrodkach naukowo-badawczych, w których uczeni, prowadzący badania na zwierzętach i tkankach dotkniętych rakiem, nie zachowują specjalnych środków ostrożności, obronne właściwości organizmu okazują się niedostateczne.

Przeprowadzone niedawno w USA badania 120.913 osób (lub historii ich chorób), zatrudnionych w laboratoriach badawczych, szpitalach, wytwórniach farmaceutycznych i na wydziałach lekarskich, wykazały, iż w przeciągu ostatnich 20 lat wydarzyły się wśród nich 1342 wypadki infekcji, wprowadzonej różnymi drogami. Na uczonych przypadało 1005 wypadków (39 zakończonych śmiercią). Wykaz tych chorób podaje informator lekarski. Figurują w nim: żółtaczkę, tyfus, świnka, jaglica i wszelkie odmiany zapalenia mózgu.

W większości wypadków zarażenie nastąpiło wskutek ukąszenia przez zwierzęta, obrażeń skóry oraz manipulacji pipetką podczas zakrapiania roztworu biologicznego. Ale zdarzył się

również i taki nieszczęśliwy wypadek, kiedy przyczyną infekcji był wirus rozszany w powietrzu, którym oddychał personel. Oto w jednym z instytutów naukowych spadło na podłogę i rozbilo się dziewięć ampułek z wyciągiem z mózgu myszy zarażonych wirusem, wywołującym zapalenie mózgu. Miało to miejsce w laboratorium na IV piętrze instytutu. Wszystkie jego pomieszczenia poddano natychmiastowej dezynfekcji. Mimo to 24 naukowców, pracujących na III, IV i V piętrze zachorowało na wirusowe zapalenie mózgu.

Chociaż do tej pory nie zanotowano ani jednego analogicznego wypadku zarażenia rakiem, to jednak zwrócono baczną uwagę na pojawienie się przeciwciał w krwi naukowców, prowadzących doświadczenia z kurami chorymi na leukemię oraz myszami zarażonymi chorobą Heinego - Medina i rakiem. Wiadomo, na przykład, iż czterech amerykań-

skich uczonych, którzy przez długi czas badali przebieg białaczki u ptaków i bydła rogatego, zapadło na osobliwą formę raka krwi (jeden z nich zmarł, trzech pozostaje pod obserwacją).

Wychodząc z hipotezy, iż głównym sprawcą białaczki i nowotworów gruczolów limfatycznych jest wirus, w niektórych krajach zaczęto już opracowywać szeroki program badań naukowych. Celem ich jest odkrycie tego wirusa, następnie wyhodowanie jego kultury w czystej postaci, co w ostatecznym rachunku umożliwiłoby otrzymanie szczepionki i preparatów leczniczych.

Jeśli hipoteza o istnieniu wirusa raka potwierdzi się — a jest ona bardzo prawdopodobna — to nie można nie brać pod uwagę ryzyka, które ponoszą wszyscy badacze, pozostający w bliskim kontakcie ze stężonymi preparatami raka, z chorymi zwierzętami lub z komórkami organizmu ludzkiego, dotkniętymi nowotworami.

Ręka rękę myje

„NATION” — NOWY JORK

„Jeśli nie otrzymamy dodatkowego miliarda dolarów — zbankrutujemy i po tencjal obronny USA dozna uszczerbku!” Taki jest sens groźnego ostrzeżenia, które prezes gigantycznej kompanii lotniczej „Lockheed Aircraft” wystosował do szefów Pentagonu. W swoim piśmie — pogróżce żąda on wyasygnowania uzupełniających sum pieniężnych na pokrycie strat wynikłych z niewykonania pięciu zamówień. Prezes „Lockheed Aircraft” wspomina w nim również o „współzależności wojskowo-przemysłowej kompanii i ministerstwa obrony...”

Kompania ma bardzo wpływowych rzeczniczych interesów. Najważniejszym z nich jest zastępca ministra obrony — Dawid Packard. Na posiedzeniu Izby Reprezentantów, poświęconym omówieniu sytuacji w „Lockheed Aircraft”, otwarcie usprawiedliwiał swych byłych kolegów. (Jeszcze do niedawna Packard piastował stanowisko prezesa dużej korporacji przemysłowej, wykonującej zamówienia dla wojska, jest członkiem ekskluzywnego klubu potentatów przemysłu lotniczego, do którego należy również prezes „Lock-

heed Aircraft”). Packard powiedział bez osłonek, iż rząd nie ma innego wyjścia, jak tylko przyjąć ultimatum kompanii. Zastępca ministra obrony po prostu uchylił się od wysunięcia jakiegokolwiek innych alternatyw, jak np. reorganizacji „Lockheeda”, połączenia kompanii z inną czy tp. God na pożałowania sytuację kompanii — jak powiedział — trzeba złożyć na karb

„wydatków związanych z wykonaniem czterech poważnych zamówień rządowych, przyjętych jeszcze przed objęciem władzy przez obecną administrację państwową...” (W tym miejscu Packard prawdopodobnie zapomniał o piątym kontrakcie rządowym na samoloty „S-3A”, pod którym widnieje jego podpis).

Ubiegłego roku kompania otrzymała już dotację rządową w wysokości 522 milionów dolarów na produkcję „S-5A”. Dowcipnie nie zwała ją „zasłkkiem dla bezrobotnych w Lockheed Aircraft”. Jest bardzo prawdopodobne, że wiceminister również i tym razem udzieli „zasłki” swym klubowym kolegom. I z pewnością nie będzie to ostatni...

Próba dojrzałości politycznej

„FRANKFURTER RUNDSCHAU” — FRANKFURT

Przebrzmiały już pierwsze echa tego historycznego wydarzenia. Teraz nastąpił moment, aby na chłodno zamknąć porozumienie moskiewskie w ramy ekonomicznych i politycznych realiów Republiki Federalnej.

Porozumienie moskiewskie jest próbą dojrzałości politycznej NRF. Normalizuje relacje ze Związkiem Radzieckim, Republika Federalna osiągnęła poziom, na którym już od dawna znajdują się jej zachodni sojusznicy. Na Zachodzie przyzwyczajono się, iż Republika Federalna nie dorosła do pozycji, pozwalającej jej na swobodę decyzji w sprawach polityki zagranicznej. Teraz musimy udowodnić, że możemy dochować wierności, że przejawiamy gotowość zawartemu porozumieniu i do współpracy, będąc jednocześnie samodzielnym i niezależnym partnerem w arenie polityki międzynarodowej. Dwudziestoletnie panowanie sojuszu Unii Chrześ-

Czy znasz architekturę Łodzi?

Publikujemy dziś na pierwszej stronie kolejne zdjęcie w naszym konkursie. Zadanie dla naszych Czytelników jest proste — jaka to budowla?

Odpowiedzi prosimy nadsyłać na adres: Łódź, „Odgłosy”, Piotrkowska 96 — tylko na kartkach pocztowych. Konkurs trwa osiem tygodni, ale odpowiedzi można nadsyłać co tydzień.

Na naszych Czytelników czekają nagrody w postaci bonów towarowych wartości:

- I nagroda — 1500 zł
 - II nagroda — 1000 zł
 - III nagroda — 700 zł
- oraz pięć wyróżnień w postaci wydawnictw albumowych.

Trudne problemy kształcenia

Dalszy ciąg ze str. 1

Mimo pewnej dezaktualizacji powyższej tabeli wobec wzrostu wskaźnika w NRD, stabilizacji i częściowego zachwiania w CSRS, generalna sytuacja zwiększenia się dystansu Polski do państw sąsiednich nie uległa dotąd zmianie. Decydującą rolę w zmianie tego stanu może odegrać wewnętrzna mobilizacja sił i środków skierowanych na oświatę i ściśle sprzężona z nią aktywna polityka kadrowa obejmująca wszystkich pracujących. Wykształcenie niejednokrotnie jest czynnikiem hamującym jednostkę w jej awansie instytucjonalnym i formalnym. Wystarczy zasygnalizować tu problem trudności z jakimi nierazko spotykają się w swym miejscu pracy studenci uczący się zaochnie, rozpoczynający pierwszą pracę absolwenci wyższych uczelni np.: w środowiskach, w których wyższe wykształcenie należało do rzadkości, specjaliści np. doktorzyujący się i pracujący po za wyższymi uczelniami nauczyciele, ekonomiści, inżynierowie. Problem ten posiada jednak i szerszy aspekt. Planowane zwiększenie liczby absolwentów polskich wyższych uczelni w latach 1965—1980 będzie przeszło trzykrotnie, studentów dwukrotnie. Trzeba zrobić wszystko, aby plany te zostały znacznie przekroczone. W przeciwnym razie uzyskamy planowany wskaźnik 17 osób z wyższym wykształceniem na 1000 ludności, co zrównałoby nas pod względem ilościowym z Ukrainą SRR z 1959, w której odsetek ów kształtował się wówczas po niżej średniej ogólnonarodowej. Na razie jednak gdy nie stać nas na ilość, do zagadnienia pierwszoplanowe go urasta jakość „wyposażenia umysłowego”, młodzieży kończącej szkoły i uczelnie. Ale i w tym zakresie, jak wykazały analizy wyniku egzaminów na wyższe uczelnie w ciągu ostatnich pięciu lat, widoczny jest regres. Zasygnalizowana wyżej „trudna inność” polskiej drogi do dynamizacji postępu oświatowego posiada poważne znaczenie dla tych rozwiązań, które niesie dokonującej się wśród wszystkich państw RWPG reforma gospodarcza. Zjawisko to nazywamy

umownie drugą w świecie, a pierwszą dla nas, rewolucją naukowo-techniczną. Nasz w niej udział zależy od naszego potencjału twórczego i organizacyjnego, naszej nauki i technologii, a także od rzeczywistej zdolności produkcyjnej nas wszystkich. Upraszczając: odkrywczość w dziedzinie teorii powoduje wzrost możliwości wynalazczych w technologii. Postęp technologiczny i organizacyjny warunkuje zaś dalszy ciąg racjonalnych posunięć w dziedzinie bezpośredniej wytwórczości. Zastanawiając się nad praktycznymi konsekwencjami tego procesu francuski badacz Louis Cros, wysuwając tezę, że rewolucja naukowo-techniczna wywołuje „eksplozję oświaty” pisał: „Dawniej na 100 zatrudnionych więcej niż 80 było pracownikami fizycznymi, mniej niż 20 musiało mieć pełne wykształcenie nie podstawowe lub niepełne średnie, a tylko jeden lub dwóch osiągało lub przekraczało poziom matury. Na 100 zatrudnionych w 1975 r. postuluje się 13—14 pracowników o kwalifikacjach bardzo wysokich, 18—19 pracowników z pełnym wykształceniem średnim, 48 pracowników ze średnim wykształceniem zawodowym i 20 pracowników niewykwalifikowanych”. (L. Cros, L'explosion scolaire. Jaris 1962, s. 26.)

Obecnie wiadomo już, że szczególnie w wyniku prób reformy szkolnictwa na zachodzie Europy po wojnie i jesienią 1968 r. w warunkach aktywizacji narodowych kapitałów Francji, Anglii i NRD, oraz rysującej się konkurencji z kapitałem amerykańskim w Europie, prognozy L. Crosa są raczej zaniżone. Ilustrują one jednak tendencję wzrostu zapotrzebowania na wysoko wykwalifikowanych technologów w krajach rozpoczynających drugie przyśpieszenie gospodarcze. Na dokonywanie nie przyspieszenia poprzez przyjęcie priorytetu inwestycji dynamiczujących badania teoretyczne, (co zwieło krotnia stopień zrewolucjonizowania technologii i w konsekwencji produkcji), pozwolić sobie mogą tylko najwięksi partnerzy ekonomiczni, tacy jak USA, ZSRR, Japonia. Zjawiska „drenażu mózgow”, dyplomacji ekonomicznej i wywiadu naukowo-technicznego, są dalszymi nieuniknionymi następstwami towarzyszącymi powyższemu procesom. Nieuczestnienie w dyktowanej przez „zasady nowego przyspieszenia” przemianie prowadzi do międzynarodowej izolacji i bankructwa.

Rewolucję naukowo-techniczną Zachodu, różni od koncepcji socjalistycznej wizji powyższego procesu przedmiotowy, manipulacyjny stosunek tzw. „elit” do człowieka jako jednostki, a także społeczeństwa i narodów. Rewolucja ta w warunkach kapitalizmu, ma nie tyle wyzwała po tencjal twórczy wszystkich obywateli, co go kanalizować. Z wyjątkiem USA i Japonii, pozostałe wysoko rozwinięte państwa kapitalistyczne poszukują przede wszystkim sprawnych o najnowocześniejszych kwalifikacjach, techników — wykonawców.

Stąd „eksplozja oświaty” dokonywająca się tam, przede wszystkim objęła szkolnictwo średnie i to o nastawieniu zawodowym. W warunkach socjalizmu jeden z podstawowych postulatów polityczno-ideologicznych wyczerpuje się w zasadzie poszerzania bazy, z której mają się rekrutować siły wytwórcze i twórcze. Wymaga to jednak rezygnacji z wielu urojeń, przesądów i nawyków. Już w 1924 r. radziecki ekonomista S. Strumilin dowiódł, że piśmienność osiągnięta w ciągu rocznej nauki, podnosiła produk-

doszli do przekonania, że podział na tzw. „zawody produkcyjne” i „nieprodukcyjne” jest sztuczny. Podobnym anachronizmem jest dziś sztywne utrwalanie podziału na pracowników fizycznych i umysłowych. Radziecki uczone formułuje następującą prawidłowość: „pracownicy o wyższych kwalifikacjach i produkcyjności powiększają nie tylko własne zarobki, lecz także produkt swojej pracy, a tym samym w nie mniejszym stopniu wzrasta całość dochodu narodowego”. (Strumilin, Efektywność

W teorii naukowej zbyt późno spostrzeżliśmy ściśle sprzężenie między systemem wychowania i nauczania, postępowaniem gospodarczym i podmiotowością polityczną. Czekając na wybory optymalnych decyzji rozgrywanej się nie tylko w kategoriach „regulacji” typowych dla epoki poprzemysłowej. Przede wszystkim dotyczą one ideowych i kulturowych wartości, zmuszających do twórczej aktywizacji, po to by nie być skazanym na obniżające prestiż polityczny nieaktywne gostosowanie. Warto to podkreślić, mimo że sprawy „inżynierii społecznej” przy obecnej reformie i dyskusji wysuwane są na plan pierwszy. Różne są tego przyczyny. Pamiętać więc powinniśmy, że zjawisku ubezwarteściwienia się pracy fizycznej towarzyszy zjawisko starzenia się kwalifikacji tych specjalistów, którzy wiedzę swoją zdobyli w poprzednich dziesięcioleciach. Stąd trafny jest pogląd, że zrutynizowanie jest szczególnie niebezpieczne tam, gdzie trzeba podejmować decyzje syntetyczne, wymagające odwagi, wyobraźni i wyprzedzenia fachowego.

W świadomości pogłębiającego się dystansu kulturalnego i ekonomicznego naszego kraju w stosunku do naszych sąsiadów zastanawiamy się wszyscy nad tym, co w ostatecznym rachunku stanowić może i powinno czynnik pobudzający, pozwalający na pełną samokreację wszystkich sił twórczych. Ani ogólnonarodowa dyskusja ani reforma nauki, szkolnictwa i gospodarki nie jest zakończona. Czemu brakuje w niej marzeń i weryfikujących je naukowo niekonformistycznych prognoz. Słuszny wydaje się pogląd wypowiedziany w ostatnich dyskusjach prasowych, że ciasny praktycyzm ludzi pozbawionych wyobraźni, zbyt często bywa pokrywany argumentem ekonomicznym, krepulą cym inicjatywę i wolę twórczą. Czy architekt polski rzeczywiście nowoczesnie może budować tylko poza granicami kraju, wygrywając tam organizowane konkursy? — pytał niedawno jeden z najwybitniejszych naszych architektów. Czy wykorzystanie patentu musi być tak często spóźnione? A cykl produkcji (tylko wydania) książki naukowej musi trwać około dwóch lat, a więc jakże często do częściowej lub zupełnej dezaktualizacji jej treści? Pytania te nie wyczerpują nawet w minimalnej części tęsknot i oczekiwań rosnących w miarę pogłębiania społecznej samooceny naszych możliwości i szans. I chyba dobrze się dzieje, że od ludzi polityki i gospodarki, ale i od ludzi nauki i kultury, społeczeństwo nasze oczekuje coraz więcej trafnych i odpowiedzialnych przyszłościowo decyzji. Znajdując się u podłoża samowiedzy każdego z nas świadomość potrzeb, możliwości i tendencji zmusza przede wszystkim do myślenia w kategoriach efektów.

WLADYSŁAW MARIA GRABSKI



Andrzej Grun, „Ziemia jałowa” IX — grafika

cyjność robotnika o 30 proc., podczas gdy przeszkolenie wewnątrzzakładowe analfabetów zatrudnionych przy obrabiarce podnosiło ich kwalifikacje i produktywność w ciągu jednego roku o 12—16 proc. Komentatorzy tych badań (w Polsce J. Wołczyk, Planowanie Oświaty, W-wa 1968, s. 23),

oświaty w ZSRR, Wychowanie 1963, nr 18). Potrzeba przezwyciężenia starszego nawyku „oszczędności” na rzekomo nieprodukcyjnej oświacie, nauce i kulturze jest ewidentna dla każdego, kto potrafi spojrzeć na świat także z perspektywy jakże koniecznej ofensywy nowoczesności.

JAN KOPROWSKI



Fot. B. Busiakiewicz

Pamięci

Jana Sztudyngera

W poniedziałek rano (14 września) powróciliśmy z nad morza i pierwsza wiadomość, jaką przeczytaliśmy w kupionej na dworcu gazecie, brzmiała: „Jan Sztudynger nie żyje”. Była to dla nas wiadomość podwójnie smutna: raz, że odszedł dobry, utalentowany pisarz i zany człowiek, dwa, że byliśmy

z nim i jego rodziną zaprzyjaźnieni. Jan Sztudynger chorował od dawna, przeszedł kilka operacji, ale przecież jeszcze w styczniu tego roku przyjechał do Łodzi, aby uczestniczyć w ogólnopolskiej naradzie literackiej w Arturówku. Był pogodny, jak zawsze, i nie zapowiadało jego ry-

chleń śmierci. Teraz mówimy i piszemy o nim w cza sie przeszłym: rozmawiał, sypał fraszkami jak z rękawa, cieszył się życiem.

Moja znajomość z Janem Sztudyngerem zaczęła się w 1948 roku. Po powrocie z Berlina zamieszkał w Felicy i naszym dwuletnim wówczas Jackiem w Szklarskiej Porębie, gdzie właśnie zamieszkał autor „Marionetek”. Mieszkał w niej jako po sąsiedztwo, oddaleni od siebie o międę, toteż wkrótce zaczęliśmy się odwiedzać. Sztudynger przychodził do nas z córką Anną i synem Jackiem, a kiedy dyś pojawili się również z żoną Zofią, która niechętnie na ogół opuszczała swoje do mostwo. Ich dom szklarskoporebiński stał przy drodze (a właściwie przy drodze) w małym malowniczym ogródku na łagodnym wznie sieniu. Spotykaliśmy się również w gościnnym domu Ady i Wlastimila Hofmana, których na przeniesienie się z Krakowa do Szklarskiej Poręby namówił nie kto inny, lecz właśnie Jan Sztudynger. W pierwszych latach po wojnie Szklarska Poręba i okolice przyciągały pisarzy i artystów. Mieszkałi tam wtedy: Edward Koziłowski, Jacek Centkiewicz, Jan Nepomucen Miller, Nina Rydzewska, Ludwik Świążawski, Wacław Mrozowski, a przez krótki czas także Zofia Kossak-Szczucka. Nie

zła kolonia literacka! Dziś z tej gromadki zachował swój domek w Szklarskiej Porębie jeden Ludwik Świążawski, inni stamtąd się wy prowadzili, a Wlastimil Hofman, wierny do końca Karkonoszom, pochowany został na karkonoskim cmentarzu. Później, kiedy i Sztudyngerowie i my wywedrowaliśmy do Łodzi, spotykaliśmy się również często jak w Szklarskiej Porębie a mo że i częściej. Przez pewien czas Jan Sztudynger dzielił swój pobyt między Łódź i Zakopane. Trawiąca go w ostatnich latach choroba nie pozwalała mu przyjeżdżać zbyt często do naszego miasta. Zmarł w krakowskim szpitalu i spoczął na zawsze na krakowskim cmentarzu.

Jan Izidor Sztudynger (jego ojciec miał te same imiona, tylko w odmiennej kolejności) był utalentowanym poetą (Wydawnictwo Łódzkie przypominało jego twórczość poetycką ogłaszając przed paroma zaledwie tygodniami wybór jego przedwojennych i okupacyjnych wierszy pod skromnym tytułem „Rymy”), znakomitym i powszechnie lubianym fraszkopisarzem, znawcą i popularyzatorem lalkarstwa (tu, w Łodzi, redagował miesięcznik „Teatr lalek”), ceni onym tłumaczem (piękne przekłady „Księcia Homburgu” Kleista i „Papieża z getta” Gertrudy Le Fort), wre

ście wielkim miłośnikiem gór i zapalonym grzybobiercem. Na grzybach znalazł się wybornie, napisał nawet obszerny poemat pt. „Grzyby”, który nie wiem dlaczego go nie ukazał się do tej pory w wydaniu książkowym. Fragmenty, które poeta nam czytał, wydawały nam się bardzo udane. Pamiętam do dziś spacer z Janem Sztudyngerem po karkonoskich lasach. Prowadził mnie nieomylnie w miejsca, gdzie znajdował zawsze wiele grzybów. Z jaką radością poka zał mi kiedyś sromotnika bezwstydny, który, jak by chciał przed ludzkim okiem ukryć swoją sromotę, wyrasta zazwyczaj wśród leśnych gestwin. O grzybach mógł Sztudynger mówić nieskończenie i cieszył się, gdy znajdował chętnych słuchaczy. W ogóle kochał przyrodę. Bolał nad każdym, skazanym na ścięcie drzewem. Kiedy w alei Kościuszki, budując linię tramwajową, likwidowano topole, rozpaczal jak dziecko po utracie drogocennego przedmiotu. Na zebraniach publicznych wzywał często do ochrony ginących drzew i protestował przeciwko bezmyślnemu niszczeniu przyrody.

Jan Sztudynger miał gruntowne wykształcenie (ukończył studia filozoficzne w Uniwersytecie Jagiellońskim), ale nie przyłączył się do literatury naukowej. Pisał lekko, z francuska, nieprzy-

padkowo jeden z toników swoich wierszy zatytułował „Kropki liryczne” a zbiór fraszek po prostu „Piórka”. W tym, co pisał, proza, dążył do klarowności i zwyczajności i prostoty. Do ostatnich chwil pracował nad pamiętnikiem i o ile mi wiadomo, zdołał go ukończyć. Pamiętnik ten zapewne ukaże się w druku.

W środowisku literackim pozostawił po sobie jak naj lepsze wspomnienia. Był ko leżeński i uczynny, w stosunkach z ludźmi cechowała go serdeczność i poczucie humoru. W swoim czasie występował w obaj w „Najmniejszym Teatrze Świata”, istniejącym przy łódzkiej „Karuzeli” przy redakcji Leopolda Becka. Z nim nie udawało mi się tak łatwo nawiązywać kontaktu jak z Janem Sztudyngerem. Znakomicie wyczuwał partnera, umiał znaleźć się w każdej sytuacji, a zdolność takich miastowej riposty i rointowania każdej kwestii sprawiły wale radości słuchaczom. Przy jakiejś okazji wypowiedział znamienne sło wa: „Lubię rozmawiać, odkad zrozumiałem, że sztuka rozmowy coraz bardziej upada”.

12 września br. zamieścił jego serce. Pozostały po nim książki i wspomnienia. My, którzyśmy znali Jana Sztudyngera, wciąż będziemy o nim pamiętać.

Emocje odkrywcy

Dalszy ciąg ze str. 1

Przyszły potem i odkrycia zagraniczne. Wśród nich w pierwszym rzędzie zaczął bym od odsłonięcia ruin pierwszego domu stwa murwanego burgundzkiej wsi Dracy, znanej nie tylko z dokumentów pisanych, a zupełnie zaginionej w terenie. Sam moment ujawnienia tam pierwszej w miarę prostej linii lica muru w ogromnym rumowisku luźnych kamieni, które pokrywają całe to stanowisko, był niewątpliwie momentem przełomowym tak dla pracy naszych polskich ekip archeologicznych we Francji jak i dla nowo rodzącej się francuskiej archeologii mediewistycznej. Mocno dotąd w tradycji francuskiej szkoły mediewistycznej osadzeni francuscy historycy średniowiecza szybko spostrzegli i docenili możliwości poznawcze jakie stwarza zastosowanie metod archeologicznych w procesie badawczym historii średniowiecza.

Archeolog mediewista właściwie nigdy nie pracuje sam. Tak więc i czynione przezeń odkrycia nie są jego odkryciami indywidualnymi. Jest to dorobek zespołu. Ale te odkrycia są i moimi, uczestniczyłem w nich, widziałem je w momencie stawiania się, przyczyniłem się do nich. Tych kilka, które próbowałem wyżej przedstawić, w różnym czasie i w kraju, różną też one mają wartość dla poznania procesu dziejowego. Oczywiście, z zastrzeżeniem skali, wszystkie one były, a śmiałybym powiedzieć, że i są do dziś, istotne.

Nie z nimi jednak wiąże me największe przeżycia odkrywcy i badacza. Odkrycie, które mnie — jak dotąd — najbardziej zafascynowało, pozornie zdaje się znacznie ustępować tym, o których wyżej, na efektywności i wadze. Są to bowiem najwyklesze ślady orki radem o kroju okutym żelazem, zachowane w kilku miejscach na płaszczystym calcu wyspy zwanej Dębowa Górka, położonej w dolinie zalewowej Warty, na granicy województwa łódzkiego i poznańskiego, między dwiema wsiami, Ewinowem i Człopa. Pozornie nie, a jednak... Nie mogę wyjaśnić uczuć, które mnie naszły na widok tego odkrycia, dopóty, dopóki nie uczynię paru zastrzeżeń.

Wydaje mi się, że prace odkrywcy archeologa-naukowca można w kwestii wyważania emocji przybliżyć do pracy technika konstruktora i tu i tu rzecz zaczyna się od pomysłu: tu — tematu badań, a tu — idei konstrukcji. Potem następuje żmudna praca, w dużej mierze intelektualna (bo my — archeologowie — sami fizycznie niemal nie kopielimy), w wyniku której pierwotny zamysł przybiera kształt: ujawnionych relikwii materialnych czy właśnie nowego mechanizmu. Emocje rozkładają się więc w czasie i są

charakteru raczej intelektualnego, wyrozumowanego i umotywowanego, aniżeli spontaniczne.

Tak i z ową orką. Nieraz już archeolog ujawniał ślady orki. Także i w łódzkiej ośrodku archeologicznym odkrycia takie miały miejsce już parokrotnie. Były to jednak z zasady odkrycia sporadyczne, dokonywane niejako mimochodem, przy okazji badania grobowych i związków owej orki ze zwyczajną uprawą pól wcale nie był taki jednoznaczny. Nie zawsze w sposób zupełnie bezdyskusyjny dało się tam wykluczyć podejrzenie o kultowym, związanym z pochówkiem, charakterze orki.

Z orką w Ewinowie rzecz się ma inaczej. Dla zespołu, w którym uczestniczyłem, a którym teraz kieruję, celem było zbadanie zasadniczego gospodarstwa wiejskiego, tak zwanego folwarku, kasztelana spiczmyerskiego.

W ramach prac nad tym problemem prowadziliśmy badania także i na owych Dębowych Górkach, zajętych w średniowieczu przez wieś, z której dziś na tym miejscu nie pozostały żadne ślady. W wyniku kilkusezonowych sondażi wykopaliskowych ujawniliśmy tam relikty kilku załadowych chat, bardzo od siebie oddalonych, rozrzuconych jakby na kształt izolowanych ferm po całym osmiohektarowym obszarze wyspy. Padło pytanie: a co między chatami? A no pola. Ale też i małe tych pól. Sądząc po rozrzuconiu ferm widać, że chodzi o wieś, której mieszkańcy parali się hodowlą bydła czy trzody na nadwarciańskich łąkach? Przecież źródła onomastyczne traktowane retrospektywnie pozwalają odnieść ścisły podział pracy w procesie produkcyjnym rolnictwa między poszczególne wsie nawet do X wieku. Może więc miały one miejsce i w wieku IX? Bo badana przez nas wieś należałoby datować na wieki IX i pierwszą połowę X. Sprawy ostatecznie rozstrzygnęło właśnie odkrycie śladów orki w przestrzeniach pomiędzy chatami.

Nie były to ślady sporadyczne. Obserwowaliśmy je na stosunkowo dużych przestrzeniach, systematycznie w ciągu trzech sezonów badawczych.

A emocje? O chłopie polskim w średniowieczu wiemy wcale nie tak mało. Stosunkowo niedawno dostarczył nam jego parutomowej monografii niezły już Kazimierz Tymieniecki. Także i o pracy na roli, o sposobach jej uprawiania w średniowieczu niejedno da się powiedzieć. Znamy podstawowe uprawy, dysponujemy znanymi uprawianymi zbóż i roślin ogrodowych. Niejedno wiemy o narzędziach i sposobie ich używania. Nie są wreszcie dla nas obce miary powierzchniowe i obliczeniowe pól, a już najlepiej chyba znamy wszelkie obciążenia ludności rolniczej, owe płacone przez nią obowiązkowe podatki, daniny, dziesięciny. Nikt jednak z badaczy nie widział dotąd średniowiecznego zaoranego pola, nie zobaczył uprawy, która przecież właśnie stanowiła podstawowe źródło utrzymania naszych przodków w średniowieczu. A myśmy to zobaczyli, mogliśmy tego pola dotknąć.

Mało tego: mogliśmy policzyć skiby, obserwować, jak wiją się wzdłuż rzeki, jak



Henryk Strumillo CWASZ. 1970. Fot. Piątkiewicz

nawracają ścisłą wiązką przed chatą. A oracz prowadził krój nierówny, za każdym krokiem, bardzo krótkim krokiem, wciskał go głębiej w ziemię. Szedł tak wzdłuż rzeki dwanaście razy i dwanaście razy nawracał. I to byłoby może właśnie ów tak dobrze znany z nazwy lan.

Sasiad orał inaczej, skośnie do rzeki, bo chyba pole miał innego kształtu. Zresztą ten znakomity świadek — ziemia — zdradził nam, że w pewnym momencie zmienił kierunek orania. Może chciał tym zapobiec przemieszczaniu próchnicy? Trzeci orał prostopadle do rzeki.

Truizmem jest stwierdzenie, że najlepszym zwierciadłem stopnia ucywilizowania społeczeństwa są procesy technologiczne produkcji. W odniesieniu do średniowiecza niejedno o nich wiemy z przekazów pisanych, a trochę nawet i z ikonograficznych. Niejedną wreszcie pracownię rzemieślnicza badano już archeologicznie. Można było wówczas wręcz dotknąć pracy rzemieślnika, określić jego „park maszynowy”, zobaczyć surowiec produkcyjny, wytwór i odpady. Ale to rzemieślnik, przedstawiciel zdecydowanej mniejszości w społeczeństwie. A chłop? Z tym gorzej, bo przekazy pisane jakże skąpe i niebez

pośrednie, bo ikonografii praktycznie żadnej, zaś archeologia dostarczyła dotąd dość pełnego obrazu warunków bytowych chłopu, zaprezentowała pewien zestaw na rzędzi rolniczych, przedstawiała codzienne pożywienie chłopu, ale nie pokazała go dotąd nigdy przy jego warsztacie, w polu. To udało nam się uczynić dla średniowiecza po raz pierwszy.

Faraon był jeden w swym społeczeństwie i miał jeden grobowiec. My zaś więcej wiemy o życiu faraona i o nim samym, aniżeli o tysiącach fellachów, którzy na utrzymanie swego faraona pracowali. Transponujemy to na stosunki polskiego średniowiecza: przecież przede wszystkim z pracy chłopu utrzymywało się całe społeczeństwo. Technologia jego wytwórczości decydowała przede wszystkim o możliwościach cywilizacyjnych tego społeczeństwa. Stąd, wydaje mi się, niezmierną wagą badań nad tą technologią. Stąd też i możliwość dotknięcia tej tak bardzo przecież w śladzie nietrwającej pracy cenionej sobie najwięcej i poczytującej za największą emocje w mej dotychczasowej praktyce odkrywcy.

DR TADEUSZ POKLEWSKI

KONRAD FREJDLICH

Z podróży po NRD

Samolot odlatywał przed siódmą, a o tej porze galeria obiegająca hall dworca lotniczego na Okęcu świeci pustkami i nikłowana bariera zabezpieczająca odsłania daleką perspektywę ścian z gładzonego płaskowca. Za dzierającą do góry głowę obserwowałem refleksy na suficie, byle coś zrobić, gdyż niecierpliwie czekałem na start. W samolocie uwołniliśmy się do końca od kompleksu mego nesesera. Zająłem miejsce na wprost skrzydła, jak to robię zazwyczaj, aby maksymalnie nie uchronić się przed kołysaniem maszyny, a potem zaprzętałem moją uwagę dolegliwości startu. Ssać machinalnie cukierki wręczony mi przez stewardesę obserwowałem zacieki deszczu na okrągłej szybie samolotu i czekałem, aż

wzniesiemy się ponad chmury, zgaśnie czerwona tablica z napisem NO SMOKING i będzie mi wreszcie wolno zapalić papierosa.

W salonie wyczuwało się na pięcie spowodowane niedawnymi wypadkami piractwa powietrznego: gdy słońce w trzech językach wychrypił swoje ostrzeżenie, że drzwi do kabiny pilotów dla bezpieczeństwa pasażerów są hermetycznie zamknięte, śledziliśmy się nawzajem podejrzliwie przekonani, że za chwilę ktoś wstanie ze swego miejsca i steroryzuje nas rewolwerem. Ale potem, kiedy pokazał się słońce, bardziej zaabsorbował nas sam lot i moją uwagę warkot czterech pracujących silników.

Patrzyłem na siwy płatek skrzydła drgającego ledwie dostrzegalnie pod naporem powietrza i usiłowałem policzyć nitki spajające blachy. I wte dy, nieoczekiwanie dla siebie, przypomniałem sobie pytanie celnika. Mój Boże, niepotrzebnie się wstydyłem, lechałem przecież z całkiem przyzwoitym bagażem: rok przemysłowy nad książką, robionych na gorąco notatek i uwag, dziesiątki mozolnie zapisanych stron.

Przypomniałem sobie od razu maj, mój maj roku 1945, koniec wojny, kiedy na ulicach wiatowały tłumy, a w ogrodach rozkwitły pierwsze, najwczesniejsze bzy. Mój brat cioteczny, starszy ode mnie o trzy lata, zawołał mnie na podwórko i pokazał

flower. A potem, oclagając się nieco, wyciągnął z kieszeni garść nabożów. Do dziś nie wiem, w jaki sposób ten karabinek dostał się w jego ręce, ale to było najmniej ważne, bo my, dzieci, też chcieliśmy mieć swój udział w festowaniu zwycięstwa.

Poszliśmy do ogródka i nalaadowaliśmy broń: już mieliśmy wystrzelić w górę, gdy tuż za płotem z zielonych sztachet pojawiła się kolumna mężczyzn idących w karnym ordynku.

— To Niemcy — powiedział brat, chociaż w maszerującej kolumnie nikt się nie odzywał i słychać było tylko szuranie butów o bruk. Szli pod strażą, prowadzeni przez dwóch radzieckich żołnierzy, ulicą wiodącą na dworzec.

— Trzeba załatwić przynajmniej jednego Szkopa — zdecydował za mnie brat. I zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, ułożył się na trawniku przyciągając do ramienia karabinek. Padłem obok niego na trawę śledząc z napięciem polyskływy koniec lufy, która uniosła się i zatrzymała, a potem rozległ się suchy, stłumiony trzask. Karabinek nie wypalił, iglica przeszła obok splonki zdzierając nieco żółtej blachy, ale zanim zdążyliśmy go przeładować, maszerujący oddalili się i zniknęli nam z oczu. W milczeniu, jakby wstydzając się tego, co zamierzaliśmy zrobić, rozładowaliśmy flower i ukryliśmy za belką na strychu.

Siwe skrzydło samolotu wciąż drgało. Odszukałem za mek fotela i opuściłem oparcie ukladając się wygodnie. Śniadanie nie smakowało mi: czułem się tak, jak się może czuć niedoszły morderca, który po dwudziestu pięciu latach wraca na miejsce swej zbrodni.

Należę do pokolenia, o którym krytycy literatury piszą ironicznie, że urodziło się za wcześnie, albo za późno. Przy szedłem na świat po klęsce Francji, a przed niemieckim atakiem na Związek Radziecki. Nie brałem udziału w walce, ani w odbudowie kraju, chyba żeby liczyć te trzy szuflę gruzy, które jako uczeń drugiej klasy odrzucałem na stosik z jakiegoś warszawskiego podwórka. Zanim usłyszałem IX Symfonię Beethovena, znałem dobrze, znałem na pamięć piosenkę niemieckich żołnierzy: „Ei li, ei lu, ei la”, która przenikała z ulicy przez zamknięte okiennice mego rodzinnego domu. Zanim przeczytałem „Fausta” rozumiałem doskonale znaczenie słowa: Panzerfaust. Wcześniej zobaczyłem spadające bomby niż bombonierkę z cukierkami. Gasiennica znacznie przedziękowała mi się z czolgim, niż z niewinną, pełznącą lizką. Krótko mówiąc, jak piszą krytycy, należałem do pokolenia bez biografii, które całą wiedzę o okrucieństwie wojny wzięło z literatury albo z filmu, albo z opowiadań gorosłych. Mamy prawo, co najwyżej, do uwarunkowania genetycznych, do spóź

nionego kredytu historii, którego wprowadzie nie rozpęściła nas w niemowlęctwie, ale szczerze wynagrodziła to w dzieciństwie.

A żeby leciałem na zachód, żeby realizować swój Drang nach Westen, z zamiarem uzupełnienia materiałów do książki, nad którą siedzę już od roku, albo nawet wcześniej, albo nawet od momentu pierwszych świadomie wypowiedzianych słów... „IL-18” realizował swój regularny rejs do Brukseli, z krótkim postojem w Berlinie na Schoenefelde, gdzie powinienem wysiąść i gdzie weźmie mnie w posiadanie „mój dziecienny temat”, temat na kredyt.

Po trzech kwadransach lotu dotarliśmy nad Odrę. Przez głośnik zakomunikowano nam, że miniliśmy granicę i za dwanaście minut znajdziemy się nad Berlinem. Całą ziemię zasłaniały chmury przesuwały się szybko pod znie ruchomiałym płatem skrzydła. Dwanaście minut? To nie wiele. Bliisko mamy teraz do Berlina, bardzo blisko.

Na Schoenefelde wiał chłodny porywisty wiatr, gdy wsia dałem do autobusu, który po wiozł nas pod szary, brzydki budynek Zentral-Flughafen.

— Tu zawsze tak wieje — wyjaśnił mi ktoś bywały w tych stronach, jakiś sportowiec ze znaczkami polskiego olimpijczyka.

— Es ist schlechtes Wetter — powiedziałem z powagą moją żołnie ubożone zdanie wprowadzając się od razu w niemiec

JAK nas poucza przy-
kład Stanisława Wo-
kulskiego, nauka języ-
ków obcych nie zawsze po-
płaca. Ale ludzie nie chcą
się uczyć życia z literatury.
Zresztą, czasy się zmieniły,
świat zmniejszył i dlatego
uczmy się obcej mowy.
Szczególnie angielskiej. Jest
on, obok rosyjskiego, najpo-
пулярniejszy i dziś, znając
te dwa języki można poru-
szać się swobodnie po ca-
łym praktycznie świecie. Za-
dza zgrabienia tajemników te-
go pozornie łatwego a w grun-
cie rzeczy bardzo trud-
nego języka pozwoliła mi
spędzić miesiąc w Londynie.

Anglicy zdają sobie sprawę z popularności swego języka. I wychodzą zapotrzebowaniu naprzeciw. Summer School — letnia szkoła dla cudzoziemców, jest prowadzona przy jednej z londyńskich wyższych uczelni — City of London College. Pod czas dwóch miesięcznych turnusów zbiera się tu chyba dużo ponad tysiąc przybyszów z wszystkich kontynentów. Niemcy, Włosi, Hiszpanie, Skandynawowie itd. Ale najwięcej Amerykanów. Niby dziwne, bo przecież ten sam język... Brytyjczyki skrzywiłyby się w tym miejscu. Popularna jest w Anglii anegdota o tym, że jeden ze sklepów londyńskich wywiesił tabliczkę: „Mówimy po włosku, francusku i niemiecku, rozumiemy po amerykańsku”. Rozmawiałem kiedyś z pewnym Anglikiem, który zapytał mnie czy „pies” to po polsku „so baka” (młodzież wielu szkół uczy się rosyjskiego). Odpowiedziałam mu z przekąsem, że jak Anglik chce mówić po polsku, to mówi po rosyjsku. Odpowiedział mi z nie mniejszym przekąsem, że jak Polak chce mówić po angielsku, to mówi po amerykańsku. Po czym w pełni harmonii uzgodniłem, że za jakieś 50 do 100 lat będą to dwa zupełnie różne języki. Istotnie, różnice między angielskim — brytyjskim, a amerykańskim są coraz większe, zarówno w słownictwie jak i w wymowie. Przy czym Brytyjczycy uważają, że to co Amerykanie wyrabiają z językiem jest po prostu zgroza i profanacją. Chyba nie jest to jedyne źródło niechęci. Anglików irytuje również amerykański styl życia, amerykańska nowoczesność i amerykańska demokracja. Te ostatnie często porównują do swojej. Nie muszą wyjaś-

niać na czyją korzyść wypada to porównanie.
Zupełnie bez złości, po pełniłam pewnego razu olbrzymie faux pas. Kiedyś okoliczności zmusiły mnie do korzystania z pomocy londyńskiego szpitala. Kiedy znalazłam się w olbrzymim pomieszczeniu jako żywo przypominającym klinię doktora Gillespie i kiedy oprzytomniałam już nieco z szoku po wypadku, zachciało mi się zabłysnąć dowcipem. I zapytałam młodego, sympatycznego lekarza czy dziś ma dyżur doktor Kil-

TERESA WOJCIECHOWSKA

Londyńskie nauki

dare. Aczkolwiek z uprzejmym uśmiechem, ale jakoś kwaśno i zwięźle odpowiedział mi, że nie. Dopiero później uświadomiłam sobie swój nietakt. Przecież „Kildare” był serialem amerykańskim i ja pomyliłam lecznictwo angielskie z amerykańskim. A Anglicy są bardzo dumni ze swojej służby zdrowia. Z dobrej organizacji, znakomitego wyposażenia, wysokiego poziomu lekarskiego, a przede wszystkim z tego, że jest to lecznictwo bezpłatne, traktujące wszystkich jednakowo. Po powrocie do kraju dowiedziałam się, że rząd brytyjski rozpatruje możliwość wprowadzenia odpłatności za usługi lekarskie. To będzie dla tych młodych lekarzy chyba wielki cios.

Nasza uczelnia, w ciągu roku akademickiego jest po litechniki, przy czym pojęcie to ma niewiele wspólnego z tym co my rozumiemy pod tym typem uczelni. Charakter studiów na politechnice jest bardziej praktyczny niż na uniwersytecie i jest to forma studiów znacznie popularniejsza. Na liczbę 45 wyższych uczelni, 30 to właśnie politechniki. Ogół-

na tendencja angielskiego systemu edukacji, reprezentowana szczególnie silnie przez Labour Party w okresie jej kadencji, idzie w kierunku upraktycznienia nauki, odelitaryzowania, udostępnienia wyższych studiów szerszym kręgom młodzieży. Temu celowi ma służyć nowy system szkolnictwa średniego, zapoczątkowany w 1964 roku, zwany komprehensywnym. Likwiduje on egzamin między szkołą podstawową a średnią, zmniejsza bariery klasowe i maiał

rych widać wszędzie — na ulicach i przy pełnieniu czynności zawodowych. Wielu Murzynów pracuje w komuni-
kacji miejskiej — w autobusach i metro, spotyka się również ciemnych urzędników na poczcie, kasjerów w sklepach i zakładach gastronomicznych. Nie widziałam na tych stanowiskach pracy Hindusów. Tyle widzi turysta w centrum miasta. Za mało, aby wyciągał jakiegokolwiek wniosek. Lektura czasopiśm daje nieco szerszy obraz.

Kiedy w Anglii po raz pierwszy wybuchły rozruchy na tle rasowym, władze były przede wszystkim, zdaje się, zaskoczone. Okazało się wówczas, że nie ma żadnego rozeznania w sprawach imigrantów (jak już pisałam, w Wielkiej Brytanii nie istnieje obowiązek meldowania się), nie wiadomo ilu kolorowych obywateli znajduje się na terenie kraju, jaka jest ich sytuacja społeczna i materialna. Rozpoczęto rejestrację, badania socjologiczne, sondaże opinii publicznej. I okazało się, że w Wielkiej Brytanii istnieje problem rasowy, istnieje rasizm.

Na naszym kursie wykładano przedmiot „Życie i instytucje”, traktujący o problemach współczesnej Wielkiej Brytanii. Nie był to przedmiot łatwy, szczególnie dla wykładowcy. Życie gospodarki Zjednoczonego Królestwa, a jeszcze bardziej — Wspólnoty Brytyjskiej stało się coraz trudniejsze. M.in. walnie przyczynia się do tego tzw. problem rasowy, Ciemnoskó-

ność wykazują starsi i młodzież. Tymczasem wystąpienia rasistów przybierały na sile i w 1962 roku wydano pierwszy akt ustanawiający kary za dyskryminację rasową. Jednocześnie ukazał się pierwszy akt o imigracji, ograniczający prawo do osiedlenia się w Wielkiej Brytanii, pozwalający osiedlać się tylko tym, których wiąza z tym krajem konkretne interesy jak studia, praca, czy też najbliższa rodzina. Dalsze ograniczenia wprowadziły dwa następne akty: z 1965 i 1968 roku. W ostatnim Izba Gmin aprobowała projekt uchwały pozbawiającej ważności paszporty mieszkańców Wspólnoty Brytyjskiej. Aktem imigracyjnym towarzyszą akty o karach za dyskryminację rasową. Jak wykazuje życie, są one trudniejsze do egzekwowania.

O przejawach rasizmu mówi się z zażenowaniem. Ze problem jest trudny i jego rozwiązanie potrwa zapewne lata. Ze jest kwestią wychowania młodzieży — przede wszystkim. Nie wiem czy to jest najkrótza droga, ale w każdym razie Brytyjczyki mówią o tym uczciwie i szczerze. Szczerze i lojalnie wypowiadzi zaskakiwały mnie tam niejednokrotnie. W ubiegłym roku na naszym kursie jedno z pytań egzaminacyjnych sformułowane było następująco: „Czy zgadzasz się z opinią, że Brytyjczycy są wyspiarzami — „insular” — oznacza w języku angielskim również: ciasny w poglądach, ograniczony. Tak krytyczni wobec nich nie są nawet Europejczycy. „Wyspiarze” zdają sobie sprawę ze swojej „inności”, pewnego rodzaju izolacji nie tylko geograficznej, ale i obyczajowej i chcą wiedzieć co inni o tym myślą. Europejczycy wola określenie „splendid isolation”, w odniesieniu do Brytyjczyków. Właśnie to odosobnienie jest zdaniem dla nich samych coraz bardziej dokuczliwe, coraz trudniejsze.

Na zajęciach z literatury angielskiej omawialiśmy po wiesie Józefa Conrada Korzeńskiego. To jedna z największych pisarzy angielskich, a przecież nasz wykład dowca na wstępie szeroko mówił o polskim pochodzeniu pisarza, o wpływie tego pochodzenia i emigracji z kraju, na całą twórczość Conrada. Opowiedział całą historię rodzinną pisarza, łamiąc przy tym rozpaczliwie język na polskich nazwiskach. Pytano mnie, kiedy wrócił do kraju, czy Anglicy są naprawdę tacy „hermetyczni”, czy unikają obcych, czy się izolują, jaki jest ich stosunek do Polaków. Nie wiem, nie było okazji sprawdzić. Moi gospodarze — hippie si prowadzili ożywione życie towarzyskie, poznałam u nich sporo młodzieży polskiej, studiującej w Londynie, widywałam także Murzynów i Hindusów. Ale to już inne pokolenie, to na którym spoczywa rozwiązanie problemu rasowego. Nie wiem jak jest z pokoleniem starszym, wiem natomiast, że zamknięte, wyizolowane środowisko stanowią Polacy, ściślej mówiąc okupacyjna emigracja polska, ta wojenna, polityczna, czy raczej pseudo-polityczna. Zamknięty klan, zastępy w uporze i nienawiści, ludzie dla których czas zatrzymał się trzydzieści lat temu. Cieszą się z wiadomości z kraju, w dobre nie wierzą. Dobre podważają sens ich egzystencji na obczyźnie, trzydzieści lat nie oderwanie od kraju. Oni izolują się również od Anglików, mówią dobrze po polsku, że po angielsku. Bardziej kulturową polskości niż jakąkolwiek inną emigracją, a jednocześnie bardziej niż jakąkolwiek inną nienawidzą kraju. Nie utrzymują kontaktu z emigracją przedwojenną, ani z przybyszami powojennymi, których sprawy rodzinne sprowadziły na stałe lub czasowo do Anglii. Każdy kto przyjeżdża dziś z kraju jest agentem Moskwy i ich śmiertelnym wrogiem. Mają własny, zamknięty świat, własną prasę i wydawnictwa. Jeśli wydają na przykład antologię prozy czy poezji, to uwzględnia ona twórców do 1939 roku. Po tym roku nie było już pisarzy, nie ma literatury. Czas zatrzymał się w miejscu. W Instytucie Historycznym im. gen. Sikorskiego przetrzymują cenne dokumenty. Mówią: „Jak się w Polsce wszystko zmieni, to przekażemy to rządowi”. Czy naprawdę wierzą, że się „wszystko zmieni”? Przypuszczam, że nie przyznają się do tego nawet przed sobą. Nie mogą się przyznać. Choć pokolenie, zaślepione nienawiścią, zasługujące przede wszystkim na litość.

Willa Fritza stoi przy wąskiej, brukowanej ulicy. Na przeciw załednia tramwajowa. Na zapleczu domu duży ogród. Willa jest historyczna, nosi nazwę Luetzowhaus. Na frontowej ścianie wisi tablica pamiątkowa. Kim był Luetzow? Długo musiałem wysilać pamięć, że był umiarkowanym, a Adolfa von Luetzowa, w okresie wojen napoleońskich. Był pruskim oficerem, który po kolejnych klęskach swojej ojczyzny zorganizował korpus ochotniczy wstawiony walką z Francuzami. Działo się to w roku 1813. Po klęsce Bonaparta tego podniesiono go do godności generała. U nas, w Polsce, a raczej we wszystkich trzech zaborach bonapartyzm stał się w tym czasie przebiegiem politycznym i uczestnicy wojen napoleońskich musieli uchodzić na emigrację.

Fritz uśmiechał się: — No, czemu nie pijesz? Po paru butelkach przesiłszy już na „ty”. Zona gospodarza, Thea, aby mnie zaw-

siłnie uściśnął mi dłoń. I bez słowa ruszyliśmy do Schoeneiche.
— Mole uczucia są mieszane, nie umiem tego wytłumaczyć.
— Poważnie kiwa głową.
— Rozumiem — mówi — to zrozumiałe.
Nie wiem, czy rozumie. Proponuję, żebyśmy spotkali się za kilka dni. Nawet nie jestem pewny, czy do tego dojdzie, mój czas jest wypełniony, postarała się o Marion.
— Jedziemy do Rudolfa!
Spojrzałem zdziwiony.
— To wspaniały człowiek, sam się pan przekona!
To był dobry trop. Rudolph, Fritz Rudolph, pisarz, podróżnik i operator filmowy mieszka pod Berlinem w niewielkiej osadzie Schoeneiche. Od bywał dalekie wyprawy do Ameryki Południowej, Afryki i liczne podróże po Europie. Byłem zdecydowany pojechać, gdy nieoczekiwanie wyłoniła się nowa przeszkoda: nie miałem paszportu, który za pokwitowaniem zostawiłem w hotelu dla dokonania meldunku. A Berlin, Grosse Berlin posiada dwie granice — wewnętrzną, z zachodnią częścią miasta i zewnętrzną z resztą terytorium państwowego NRD.
— To się da załatwić.
I z Placu Aleksandra pojechaliliśmy z Marion szybko koleją miejską na Erkner, ostatni przedgraniczny przystanek. Po paru minutach przed stacją zahamował gwałtownie szary „Trabant”. Jego kierowca, niemłody już mężczyzna,

niemłody już mężczyzna, przedmiot łatwy, szczególnie dla wykładowcy. Życie gospodarki Zjednoczonego Królestwa, a jeszcze bardziej — Wspólnoty Brytyjskiej stało się coraz trudniejsze. M.in. walnie przyczynia się do tego tzw. problem rasowy, Ciemnoskó-

niemłody już mężczyzna, przedmiot łatwy, szczególnie dla wykładowcy. Życie gospodarki Zjednoczonego Królestwa, a jeszcze bardziej — Wspólnoty Brytyjskiej stało się coraz trudniejsze. M.in. walnie przyczynia się do tego tzw. problem rasowy, Ciemnoskó-

ki, bo nie byłem pewny, czy dostanę tłumacza.
Uśmiechnął się do mnie: — Co się pan zgrywa.
— Es ist schlechtes Wetter — powiedziałem z uporem, poszło mi to łatwiej.
Obawiałem się trochę, że przedstawił Deutscher Schriftstellerverband nie zgłosi się na lotnisko i choć lubię przygody, niepokoiłem się, gdyż nie posiadałem ani feni-ga. Zapomniałem bowiem, a może nie wiedziałem o tym, że sumienność jest przyrodzoną cechą Niemców.
Oczywiście oczekiwano mnie. Młoda urzędniczka z Komisji Zagranicznej przycisnęła się do komory celnej.
— Więc to pan — powiedziała i chciała ująć mój bagaż. Odebrałem jej nesesser i poniosłem do samochodu. Niebieski „Moskwicz”. Służbowy.
W drodze zapaliśmy. „Car meny” cieszą się tutaj dobrą sławą, tylko nasz szofer, jak to robią wszyscy kierowcy świata, zatknął sobie papierosa za ucho.
— Spaeter.
Nie odzywał się, moja przewodniczka mówiła coś, ale tak szybko, że nie rozumiałem ani słowa. Gdy prze-rywała spoglądając na mnie pytająco, na wszelki wypadek potakiwałem i dalej milczałem.
Pogoda zepsuła się do reszty, nad Berlinem wisiły ciężkie chmury i siąpił deszcz. ciężka, surowa zabudowa miasta przytłaczała swoją monoto-

nią. Nawet uliczny ruch przy stosował się do tego prawa: szeroki strumieniem toczyły się samochody tych samych, do znużenia, marek — „Wartburgi” i „Trabanty” — jakaś osamotniona „Wolga” zdawała się nieoczekiwanym rarytasem.
Choć przybyłem po raz pierwszy do tego miasta, topografia Berlina znam zupełnie nie źle, wiele nocnych godzin spędziłem nad mapą, bo właśnie w Berlinie, wojennym Berlinie roku 1944 osadziłem akcję swojej książki pt. „Zwycięstwo”. I teraz mijając przypadkowe stacje S-Bahnu uprzytomniałem sobie dawno zapomniane nazwy: Schoene weide, Ostbahnhof, Jannowitzbruecke. A gdy wleczaliśmy na Alexanderplatz, na słynny Alex, gra wyobraźni rozpoczęła się na dobre.
Ale nie dane mi było tego dnia poddać się jej regułom. Oto hotel, z dziwnie swojsko brzmiącą nazwą „Unter den Linden”, a w hallu czeka już na mnie tłumaczka. Przedstawia się krótko: — Marion.
Nie wolno mi jednak zająć pokoju. Ujawnia się jeszcze jedna cecha Niemców: akuratność. Doba hotelowa zaczyna się później i nie pomagają żadne tłumaczenia.
— Dysejplina musi obowiązywać — stwierdza poważnie recepcjonista.
Marion znajduje radę, zaprasza mnie na śniadanie, czestuje ją kawa do której dodaje Knackebrot, specjalny gatunek chleba, chrupiący jakby składał się z samej skórki. Uprzedza też, że musimy złożyć oficjalną wizytę w Związek Pisarzy, gdzie na nas czeka kawa. Byłem na to przygotowany, pierwszy dzień pobytu za granicą jest zwykle zmarnowany dla pracy, odebrany przez załatwienie formalności i wizyty oficjalne.
Ale później nie żałowałem wizyty na Friedrichstrasse, tej najdłuższej chyba berlińskiej ulicy przygródzonej granicznym murem, za którym z czystej troski o wschodnich berlińczyków zatrutywnych bolszewickim jadem, pan Springer, polityk i wydawca, polecił wybudować wysokościowiec z gazetą świetną. Bo Berlin, o czym się przecież wie, ale nie zawsze uświadamia to sobie dostatecznie ostro, jest miastem granicznym, jest najdziwniejszym miastem świata.
Młody poeta Gerd Eggers, rocznik 1945, przedstawił się: — Jestem komunistą.
Przyjęcie w Związku Pisarzy Niemieckich jest skromne, ale treściwe. Koniak, duży koniaku. Przeglądam wręczony mi tomik wierszy dwu dziesięcioletniego poety i natrafiam na słowa, które pośpiesznie sobie tłumaczę: „Trzeźwo spoglądająca, Ziemię, Złotym kochasz fantazów, ty kochasz kochasz poetów, a ich „stanie się” bliższe ci niż „było”. które głoszą pesymistów”.

Właśnie to odosobnienie jest zdaniem dla nich samych coraz bardziej dokuczliwe, coraz trudniejsze.

Właśnie to odosobnienie jest zdaniem dla nich samych coraz bardziej dokuczliwe, coraz trudniejsze.

Właśnie to odosobnienie jest zdaniem dla nich samych coraz bardziej dokuczliwe, coraz trudniejsze.

KATARZYNA
ROGALSKA

BRYDŹ

— „Jest, jest — powtarzała Ludwika drecząc małymi kroczkami po pokoju. — Jest, zobacz Pankracy, panterko moja śliczna. Wydrukowali.

Pankracy leżał na poduszce i nawet nie otwierał oczu. Nie chciał mu się. Dopiero, kiedy usłyszał szelest gazety, podniósł się na cztery łapy i przeciągnął. Działo się coś dziwnego. Nigdy po przeczytaniu gazety Ludwika nie była tak ożywiona.

— „Posłuchaj, Pankracy: „Różne”. Starsza, kulturalna pani pilnie poszukuje trzech osób grających w brydża. Cel — rozrywkowy. Nazwisko i adres znane redakcji.” Ludwika umiała już na pamięć te zdania. Powtarzała je w kółko. Podkładała pod nie melodyjki, nu ciła raz allegro moderato, to znów molto vivace, krzątała się po ciasnym pokoju, przestawiała wazoniki i fotografie. Po chwili wracały na swoje poprzednie miejsce, bo nie mogła się zdecydować, jak będzie ładniej. Czy tak? A może tak? Raz po raz zerknęła na rozłożoną na stole gazetę. Wyjęła z dolnej szuflady w komodzie dwie talie Piątka, dosyć stare, chociaż mało zniszczone. Przeliczyła, czy są wszystkie karty, odłożyła dzokery do pudełka. Potem przypomniało jej się, że trzeba zetrzeć kurz z pianina. Wytarła, odniosła ściereczkę do kuchni. Znowu po nią poszła, bo zauważyła jakiś pyłek pod lampą.

Tego dnia Pankracy nie dostał wędzonej ryby i musiał zadowolić się odrobiną wczorajszego mleka. Zresztą sama Ludwika nie nie jadła. Zapomniała. Rozłożyła karty i albo rozgrywała szlemy i szle miki, albo kładła pasjansy. Pod wieczór jej radosny nastrój nieco zmalał. Odczuwała lekkie niepokój.

— „Pankracy, kochany, jedyny, a jeżeli nikt nie przyjdzie? Jeżeli nikt nie zechce zagrać ze mną?

To na co mi było ogłoszenie?” — zabrała się do kolejnego pasjansa. Pankracy nie reagował. Przyzwyczał się do różnych postępów Ludwika, dziwnego stworzenia, z którym mieszkał i które zawsze o piątej po południu kładło mu na talerz pachnący kawał wędzonej ryby. Urażony, że dzisiaj dostał tylko tę ohydną, białą ciecz odwrócił się głową do ściany, by wyrazić najszczerszą pogardę. Zresztą dokuczał mu głód, co nie wpływało przyjemnie na jego kocie samopoczucie.

Ludwika co chwila podchodziła do okna i wyglądała na ulicę. Może ktoś obcy skreci do bramy? Coś jej się przypomniało, to znowu o czymś zapominała. Tak też przypomniało jej się, że trzeba przygotować pióro i kartkę papieru do zapisywania. Najpierw szukała pióra. Długo trwało, nim je znalazła w pudełku z szyciem. Papier miała w nocnym stoliku. Kiedy wysunęła szufladę i sięgała po kartkę, natrafiła na stary drewniany nożyk. Wzięła go w rękę i podreptała do Pankracego. Usiadła przy nim i trzymając ostrożnie nożyk, powiedziała:

— „Pankracy, a jeżeli przyjdzie trzech lotrów? Jeżeli domyślą się, że jestem samotna? Jeżeli przyjdą mnie ograbić? Mój Boże, co ja zrobiłam?”

Podreptała się z kanapy. Drżącymi rękami odpięła broszkę z ametystem i schowała ją w pudełku na szycie, między szpulkami, kawałkami gumy i tasemek.

— „Tak — westchnęła. — A właściwie, to co? Niech mnie ograbią, ale najpierw, żeby tylko zagrali, chociaż jednego robra — uśmiechnęła się. — Tyciuteńkiego roberka”.

Znowu podeszła do okna, odchyliła firankę.

— „Panterko, powiedz, skąd ma ja wiedzieć, że jestem samotna? „Starsza, kulturalna pani pilnie poszukuje trzech osób grających w brydża. Cel — rozrywkowy.” Nic w tym nie ma o samotności.”

— „Oj, zaraz, zaraz, tylko pomyśl! — usiadła na krześle i podparła brodę wąską, chudą dłonią. W świetle lampy zamigotały brązowe cętki na skórze. — Przecież to jasne. Gdybym nie była samotna, nie szukałabym trzech osób do brydża, tylko jednej, albo dwóch, albo w ogóle nie szukałabym nikogo, bo nie miałabym czasu na grę w karty, albo miałabym przyjaciół i znajomych”.

Wstała, podeszła do Pankracego i pogłaskała go: — „Wiesz Pankracy, chyba jestem już bardzo niemądra. Sklerotyczna staruszka”. Stała przy oknie i wyjrzała na ulicę.

Nie była to ulica ruchliwa, chociaż zawsze ktoś tędy przechodził. Wyłaniał się z ciemności, przecinał krąg światła pod dużą latarnią i znowu pomału zniknął w ciemności, by dojść do następnej oświetlonej plamy. Ludwika z niechęcią patrzyła na tych ludzi i ze strachem. Najmniejszy człowieczek wydawał jej się olbrzymem, a chociaż nie mogła z dosyć dużej odległości dokładnie przyrzeć się twarzom, wiedziała, tak, wiedziała na pewno, że mężczyzna w jesionce ma złe oczy, że kobieta z siatka złośliwie się uśmiecha, że z dwóch wielkich chłopaków, jeden pali papierosa, umawia się i coś knuje.

— „Och, — jęknęła — a drugi trzyma rękę w kieszeni!” Odskończyła od okna i zawołała: — „Pankracy, a jeżeli oni mnie zabiją? Eh, już i tak niewiele mi zostało, ale kto ci da jeść? Kotku biedny!” — stanęła na środku pokoju i opuściła ręce. — „Ludwiko, przecież nie dałaś dzisiaj nic kotu!” — powiedziała surowo i przygnębiona poszła do kuchni.

Między oknami, zawinięty w szary papier, leżał kawałek wołowiny, jej obiad na jutro. Wyjęła go i posiekła na drobne kostki. Nalała świeżego mleka do miski, do drugiej czystej wody. Pankracy był już w kuchni. Ocierał się o nogi Ludwika, gdy kroila mięso, potem wygodnie rozsiadł się nad wystawionymi talerzykami, ostrożnie brał w zęby kawałek mięsa, starannie rozgryzał i polykał. Starza pani oparła się ręką o stół i patrzyła. Uspokajała się. Jej jedwabna, brązowa bluzka, przedtem spięta broszką niemal pod brodą, teraz rozchyliła się i odsłaniała suchą, obciążoną cienką, pomarszczoną jak za duża rękawiczka, skórka, szyję.

Gdy kot najadł się, Ludwika wyszła za nim z kuchni. Sprawdziła, czy drzwi na korytarz są zamknięte i zasunęła łańcuch. W pokoju zasłoniła szczelnie okno, zgasiła lampę i owinięta wełnianym szalem, zmęczona, usiadła na kanapie. Pankracy mruczał na jej kolanach. Głaskała go jedną ręką, a drugą przytrzymywała rozchyłony kołnierzyk bluzki. Czekala.



WACŁAW MROZOWSKI

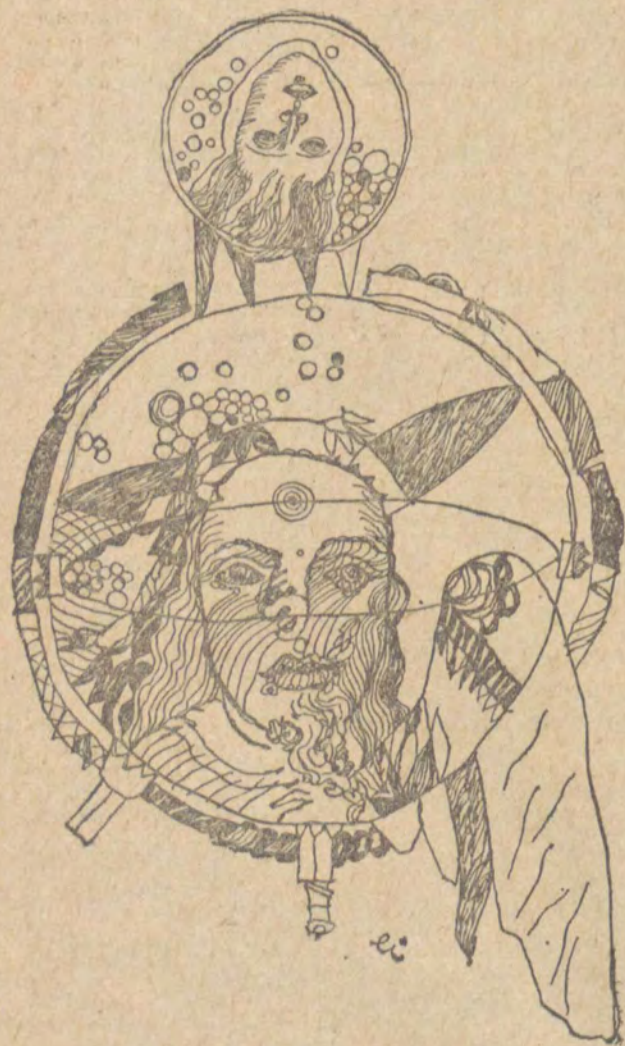


Małe słońca złote oczy
pod powiekami sennych chmur,
wieczór oplata swym warkoczem
urodę Świętokrzyskich Gór.
Schodzi z Łysicy na doliny
błądząc zboczami Radostowej —
Pożar wieczoru gaśnie. Dymem
opada nocy płaszcz krepowy.
I Zagnańsk do snu tuli głowę
w ramionach Bobrzy i Lubrzanki,
wysłuchany w arie księżycowe,
w Puszczy Jodłowej kołysankę.

Pieśń

Przychodzisz nocą i wszystko
jak zamieć zasypuje głowę,
o śmieszna i stara kołysko
z bierwion sklecona sosnowych.
I nucisz gorący psalm —
lulaj, wysnuty z marzenia,
a za oknem na piasku — srebrne plamy krwi,
a tam
kołuje inna pieśń jak ziemia
i mocny łuk ściągniętej brwi.
Ulica złota od słońca — żołnierskie kroki
odchodzą na pola w takt —
góra obłoki, obłoki,
a tam zaśnieszony trakt.
A na trakcie chata — a w tej chacie
pieśń wysnuta z marzenia:
„Hej ułani, czemu nie wracacie?”
ale ich nie ma.
Nie powrócą, Koniec pieśni. Kończcie ją
i innej nie śpiewajcie — to smuci,
czyż nie prościej zanućić tę,
że:

„Jaś nie wróci, nie wróci”.



Rys. E. Inglot

HENRYK HARTENBERG

Portrety

I

Barwy ciemne,
posypane trochę srebrem
rozbielone mlekiem.
Na stoliku renesansowym siedzisz,
jak zwykle z miłym uśmiechem.
Tło — miękka kotara
w wypukły wzór haftowana,
W dłoni kieliszek z winem
Na ścianie — gitara

II

Uśmiech nieśmiały
spojrzenie w bok
nieobecne
dłonią wygląda
błękitne refleksy westchnień.
Otulona pledem
w czerwoną wielką kratę
myśli może o niczym,
a może o prawdach, które rządzą światem...

III

W jakimś przytulnym kącie
czyta pożółkły romans.
Uśmiecha się może do siebie,
a może właśnie do nas.
A przecież w oczach jej smutek
i dłonie nerwowo splecione...
Tło? — Malwy do nieba wysokie
i skrzypiec przeczyste tony...

Pierwsza miłość

Kocha cię mała dziewczynka
uczesana w śmieszne warkoczki
I płacze czasem do poduszki
a czasem do gwiazd
I prosi cię tak bardzo
Przyjdź jutro pluszowy niedźwiadku
pocałuj ją na dobranoc
i lampkę sam zgaś

Biały bez w styczniu

Bez biały żółta wstążeczka
Cztery gałązki — jakie ładne
Ktoś na nie spojrzy
wzrokiem owinię
w celofan śmieszny
czy w śnieżną zamieć

My

Do rozmodleń szarych nam daleko
latać nie umiemy na skrzydłach z papieru
czas przez palce i włosy
niewidzialną rzeką
czy prostą
dążącą do zera...

JERZY WILMAŃSKI

Śmierć przychodzi nie w porę...



Jest taki młody na fotografiach w tomie wspomnień „Cyganeria”, jeszcze posiwiała broda nie kryła jego porażonej krtani, jeszcze nie zasłaniała jego pięknej i wciąż młodzieńczej twarzy... Oparci o cynowy bar na rogu Wólczańskiej i Mickiewicza rozmawialiśmy o poezji i tragedii narkotycznych wrzusek.

Wacław Mrozowski — poeta innego niż moje pokolenia, niósł w sobie te same przeciętne lęki i dramaty, ten sam ból i tę samą udrękę.

„Widzisz ten wicher, noc i mgłę,
na drodze białe konie?
To Barleycorn i ja i sen,
trzymamy się za dłonie”.

Ale to nie było — jak w wierszu — na lubelskim rynku, lecz w samym centrum huczającej nocą Łodzi. A On minął już wtedy smugę cienia i za Nim był „czar dionizyjskich miesięcy, piękna liryka z kilku strun — Stanisława, Henryka, Bronka... Jeszcze tylko Stanisław nie runął z otwartego okna kamienicy na Lesznie, jeszcze tylko Wacława nie pochłonięła noc... Henryka Domińskiego, Bronisława Michalskiego pochłonił już mrok. Józefa Czechowicza trafiła bomba niemiecka...

Pozostał ze wspólnego pokoju przy ulicy Dobrej tylko On — resztę „rozpedził wiatr wrześniey, po pełny huragan...”

„Ale to nic. Tak samo jak dawniej toczą się wody rzek wielu i wierzby nad Polską szumią nisko...”

I szumiała łódzko-lubelska noc na rogu Wólczańskiej i Mickiewicza i w ciągłym sporze z Barleycornem rodziły się wiersze:

„I choć przegrałem stawkę, jaką było życie,
biegłem przez nie w malignie i do końca dumny
(od kotylski sosnowej do sosnowej trumny)
pełen wiary, że przecież ktoś przekaże słowo
tym, którzy czytać będą o mojej legendzie,
gdy w popiół się obróce, gdy mnie już nie
będzie,
gdy poezja i dobroć wskrzeszą mnie na nowo”.

Nie ma legendy Wacława Mrozowskiego — jest tylko surowa, tragiczna prawda o życiu porażonym kryształową złądą, przekleństwem losu... Jest tylko surowa prawda o poecie na granicy miłości i szaleństwa londonowskiego Barleycorna.

„A kiedy wracam, pies mnie wita,
na niebie gwiazd rzucone nuty
zadają się z okna cicho pytać:
czemuś, poeto, taki smutny?”

Cóż odpowiedzieć nocy czarnej
ma czarny człowiek z czarną duszą,
czujący czarny chłód cmentarny,
którego rzeczywistość kruszy”.

„A kiedy wracam...” Ileż było tych wędrowek — ile lat ze żrącym robakiem w sercu, a potem ile lat owiewał Go chłód cmentarny, bo los bezwzględny kazał Mu długo umierać...

Więc wracał tam — gdzie pod każdym kamieniem jego młodość leży — do Lublina, Chełma, „w mgłami przystonięte uroczę Budeje”, nad „wieczną i niewinną wodą nad Kodyną”.

„Cóż wspominać i błędzić w zaroślach —
miłość dawno rzucona
kamieniem
w rozpetanym jak dzikus polu
dziś trafiła w namiętne ramiona
co się zwać gorączką alkoholu”.

Więc jeszcze w gorączce, kiedy się zaciskał węzeł na krtani, rcdziły się te ostatnie, przejmujące tragicznie wiersze. „Miłość i śmierć jednaka. Przychodzi nie w porę...”

I przyszła śmierć. I zostały wiersze.

Wacław Mrozowski. „Tu pod każdym kamieniem moja młodość leży”. Wydawnictwo Lubelskie — 1970.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Bez strachu zmęczenia nudy

Felietony Bernarda Sztajnera, zebrane w tomie „Bez strachu” (*), a uprzednio drukowane w prasie łódzkiej, mają charakter refleksyjny i spekułatywny. Nie nawiązują one bezpośrednio do potocznych spraw codzienności, nie zajmują się ich doraźną krytyką i naprawą tego, co ujemne, słowem — nie są to felietony typu „z życia wzięte”. Uwagę autora przyciągają — zwykle przypadkowo i przelotnie — fakty i zjawiska najrozmaitsze: od przejażdżki autobusem do procesu... Sokratesa, nie stanowią one jednak materiału do konkretnych opracowań, lecz służą jako zachęta i pretekst do wycieczek w górne regiony istnienia, do snucia ciążących z tymi podrodzajami skojarzeń, rozważań i wniosków.

Ale z tego, co napisałem wyżej, nie wynika jednak, że pięćdziesiąt z górą mini-felietonów zebranych w książce Sztajnera — to tylko jakieś disiecta membra, rozsiane w nieładzie na obszarach jego intelektualnych docieków. Nie. Z tych felietonów — pomijając pewne marginesy — wyłania się filozoficzna koncepcja autora na temat bytu i losu człowieka. Jej podstawą jest afirmacja zastanej rzeczywistości, afirmacja życia pojętego jako twórczość, jako nie kończący się bieg wielostronnego twórczego działania. „Twórczość pisze Sztajner — jest naj-

skrajniejszym zaprzeczeniem automatyzmu. Poczynania twórcze to szereg realizowanych pomysłów, poczynania automatyczne to szereg realizowanych nawyków. Twórczość można przenieść w każdą dziedzinę życia”.

Aby jednak rozwinąć i zmożliwić swe tendencje twórcze, człowiek musi wyżyć się całkowicie i bezwzględnie, wszelkich lęków, nie wyłączając lęku przed śmiercią, lęku bowiem paraliżująco bądź wręcz niszcząco możliwości prawdziwie twórczego ludzkiego działania, które jest dźwignią i motorem materialnego i moralnego postępu. Zgodnie ze swą koncepcją ludzkiego istnienia, Sztajner zaleca czynny stosunek do naszych mijających dni, to znaczy, że nie należy ich spędzać „na ślepo” i w duchowym bezładzie, trzeba natomiast konstruować ich kształt i bieg w sposób „programowy”. „Ten kto programuje swe dni — twierdzi autor felietonów — nie zazna zmęczenia mimo ciężkiej pracy i nigdy nie stanie przed nim upiór nudy”.

Przyznając zasadniczą słuszność teoretycznym wskazaniom Sztajnera, musimy jednak, jako sceptyk z usposobieniem, wyrazić nieco wątpliwości, czy zalecane przezeń „programowanie” jest zawsze i w każdych okolicznościach praktycznie możliwe. Nie przysięgam na to.

Zarysowane tu — oczywiście tylko z grubsza — koncepcje życiowe Sztajnera, choć stanowią główną i najbardziej istotną część treści jego felietonów, nie wyczerpują przecież tej treści bez reszty. Mówiąc generalnie, znaleźliśmy w tych publikacjach odbicie uważnego i poważnego spojrzenia autora na rzeczy, sprawy i współzależności naszego skomplikowanego świata, a choć z konkluzjami autorskich przemyśleń nie zawsze zgodzimy się w stu procentach, nie przejdzie nam nad nimi lekceważąco do porządku dziennego, jak to nieraz bywa przy tego rodzaju lekturze. Przadaloby się

gdzieś tam felietonem Sztajnera trochę więcej zwartości i przejrzystości stylistycznej, nie są to jednak w danym przypadku braki tak istotne, by należało się nad nimi szeroko rozwodzić.

Na końcu jeszcze jedna uwaga, czy może dobra rada: Nie można i nie należy czytać felietonów Sztajnera (ani w ogóle tekstów tego rodzaju) — jak to się mówi „jednym tchem”. Trzeba przy tej lek turze zastosować rozsądne dozwolanie, a wtedy dopiero będziemy mogli sprawiedliwie ocenić jej smak i wartość.

* „Wydawnictwo Łódzkie”, str. 176, cena 7 zł.

Od redakcji: Jaka szkoda, że autor Bernard Sztajner w przedświadaniu do swojego tomu zapomniał chociażby nadmienić, iż wszystkie felietony przed wydaniem książkowym W. L. ukazywały się regularnie w „Odgłosach”. Jak nie trudno zauważyć, felietony w dalszym ciągu są zamieszczane przez naszą redakcję.

spektakle tygodnia

WIELKI	Spektakli Widzów proc.		
„Kniaź Igor”,	1	1260	100
„Orfeusz w piekle”,	1	1260	100
NOWY			
„Janosik”,	5	2000	60
„Zemsta”,	1	350	50
NOWY			
Mała Sala			
„Teoria Einsteina”,	5	500	50
„Pelikan”,	1	100	50
JARACZA			
„Jęgor Bułyczow”,	1	514	100
POWSZECHNY			
„Lizystrata”,	3	1800	95
„Ojcowie rodzą się w szafach”	2	1000	90
„Wszyscy moi synowie”,	1	450	80
7.15			
„Grube ryby”,	4	944	56
OPERETKA			
„Miłość szejka”,	7	4849	63
FILHARMONIA			
2 koncerty symfoniczne		1454	100

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”

- ★ ANTONI KASPROWICZ — Romantyk
- ★ ZENON RUDNICKI — Języki obce na manewrach
- ★ ANDRZEJ GRUN — Węgiel niejedną ma barwę oraz felietony, recenzje, zdjęcie konkursowe i nowela kryminalna.

Przeszłość i teraźniejszość

Zwłaszcza w zakresie historii najnowszej nie sprawdzi się popularne, również wśród części zawodowych historyków przeświadczenie, że postęp w poznawaniu prawdy dziejowej, w zbliżeniu się do tego, jak to niedługo rzeczywistość było, polega przede wszystkim na kumulacji ustaleń szczegółowych. Nie ma chyba takiej gałęzi nauki, a w każdym razie nie ma takiej dziedziny historii, w której kolekcjonowanie faktów wystarczałoby dla postępu wiedzy. Faktów bowiem, zwłaszcza w historii najnowszej, jest nieskończenie wiele i aby mogły one posłużyć dla rekonstrukcji minionych dziejów, muszą być zorganizowane według jakiejś ogólniejszej koncepcji, wyjaśniającej na tej samej zasadzie, jak do zbudowania domu konieczny jest plan całości. Jest zrozumieli, że historyk z racji przedmiotu swoich zainteresowań musi być przywiązany do konkretnego, do szczegółu, zwłaszcza zaś historyk czasów najnowszych, który co krok spotyka się z niczym nie uzasadnionymi, nie mniej bardzo rozpowszechnionymi ogólnikami. Nikt nie chce już bowiem powtarzać wyartakowanych komunalów. Jednocześnie jednak właśnie badacz dziejów najnowszych staje przed niebezpieczeństwem zagubienia się w setkach i tysiącach detali, jeżeli nie zdoła się na ogólniejszą perspektywę, nie zbuduje ogólniejszego modelu wyjaśniającego, który będzie mu służył za podstawę dla wyboru faktów i ich interpretacji.

Sądzę, że niedomogi naszego stanu badań zarówno w zakresie ustaleń szczegó-

lowych, jak i koncepcji ogólniejszych zauważyli wielce na tym, że dopiero teraz, w ćwierć wieku po zakończeniu II wojny światowej mogliśmy otrzymać syntetyczny, lecz głęboko osadzony w materialne obrazy polityki hitlerowskiego okupanta w naszym kraju. Dwutomowe dzieło prof. Czesława Madajczyka „Polityka III Rzeszy w okupowanej Polsce” (PWN, 1970) jest pierwszym pogłębionym ujęciem tego problemu w naszej historiografii, i to — powiedzmy od razu — ujęciem nie-

Panorama okupacji

zmiennie ambitnym. Uczony stanął tu przed zagadnieniem wielkiego znaczenia, natury również metodologicznej, z którym na innym materiale często spotyka się każdy niemal historyk. Chodzi mianowicie o konfrontację ogólnych założeń politycznych — w tym wypadku polityki III Rzeszy wobec narodów podbitych — z konkretnymi okolicznościami danego kraju — tutaj ze stosunkami polskimi. W konfrontacji tej zachodzi swego rodzaju sprzężenie zwrotne, a więc nie tylko założenia ogólne determinują kształt konkretnych realizacji politycznych, lecz także okoliczności miejscowe w równej mierze wpływają na kształt owych pierwotnych założeń ogólnych, które konkretyzują się w odniesieniu do ziem polskich podobnie, lecz jednocześnie także i

odmiennie jak na innych obszarach. Dialektyczna metoda badawcza pozwoliła prof. Madajczykowi przeciwstawić się jednostronności dotychczasowych ujęć naszej historiografii, wyrażającej się w tendencji do przedstawięcia polityki nazistowskiej w Polsce wyłącznie w świetle celów, wyznaczonych czy to przez centralne władze III Rzeszy, czy przez lokalne władze okupacyjne. „Nie zwrócono przy tym uwagi — pisze autor — na rozbieżności między ustaleniami z góry programem po traktowaniu ziem polskich, a nieuchronnością pewnych modyfikacji, jakie narzucała rzeczywistość wojenna”.

Metoda ta pozwoliła uzo-

stkie ważne zagadnienia do czekały się w nim ostatecznego, pełnego omówienia. Książka ta, powstała na warsztacie indywidualnego badacza, nie jakiegoś badawczego kolektywu, podsumowuje ważny etap poszukiwań historycznych, a jedno cześnie otwiera ogromne pole dla dalszych badań. Prof. Madajczyk najlepiej zdaje sobie sprawę również z jej niedostatku, nierówności potraktowania poszczególnych grup zagadnień, nie za wintonych przez autora bo wynikających ze stanu nauki światowej, lecz jakże dotkliwych braków w materiale porównawczym. O tym wszystkim i o wielu innych jeszcze sprawach będziemy mówili więcej w naukowych dyskusjach, jakie ta książka wywoła, na kartach fachowych czasopiśmie i książkach. Niewątpliwie najunikliwiej została przez autora potraktowana problematyka społeczno-polityczna i społeczno-ekonomiczna, z uszczerbkiem dla zagadnień historii kultury, o których z pewnością dążył się powiedzieć znacznie więcej. Każdy historyk ma jednak prawo do ukierunkowania własnych zainteresowań i indywidualnych zamiłowań badawczych, mając świadomość, że inni mają odmienne.

Na zakończenie jeszcze o jednym. Od pewnego czasu, zwłaszcza na łamach naszej prasy, czytamy wiele krytycznych uwag i docinków pod adresem książek publikowanych przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Tym bardziej należy podkreślić, że PWN nadało dzieło prof. Madajczyka godną oprawę i że edytorska strona tej ogromnej, liczącej w sumie prawie 1200 stron książki wystawia jak najlepsze świadectwo Wydawnictwa.

JÓZEF GRZELAK

ZDZISŁAW PIZON

Rzeźby Dunikowskiego w Łodzi

JEGO ROZGŁOS PORÓWNAĆ MOŻNA JEDYNIEM Z ROZGŁOSEM NIEKOTRYCH PRZEDSTAWICIELI POZYTYWISTYCZNEJ LITERATURY. NIEWIELU TWORCOM SPOŁECZENSTWA POLSKIE WYRAZIŁO PRZEMYSŁANE UZNANIE ZAPISEM HIPOTECZNYM. SIENKIEWICZ ZA ŻYCIA ZOSTAŁ UHONOROWANY WIEJSKIM DWORKIEM. DUNIKOWSKI W ROK PO ŚMIERCI — WARSZAWSKIM PALACYKIEM, KROLIKARNIĄ.

Urodził się w 1875 roku. Z rzeźbą zetknął się raczej przypadkowo, poprzez miłość. Oto w łupku diubie profil ukochanej, nie z miłości do sztuki, naturalnie — ze wszystkich dzieci w szkole z rysunków miał zawsze najgorsze stopnie. Relief ocenia jako nadzwyczaj udany, własne zdolności — wbrew pryncypialnym opiniom pedagogów — jawią mu się raptownie jako niewątpliwe. Nie mając zorganizowanej przyszłości, zawodu, innych zainteresowań ani pieniędzy, objawienie przybera ponętny zarys dochodowej żyty. Istotnie, z młodopolskim samozachwytem spienięża nowo odkryty talent — zdobywa i realizuje rzemieślnicze zamówienia po 75 rubli, zanim nie postanowił na trwałe zagospodarować się w sztuce jako artysta. Po krótkim okresie wizyt w pracowni warszawskiego rzeźbiarza, Syrewicza, w 1896 roku decyduje się na studia w krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych. Zostaje uczniem Dauna i Laszczki. Pierwszy rok nauki z trudem opęda dziesięcioma rublami miesięcznej pensji, w którą wykwiłował go ojciec, zwłaszcza, że krakowska bohema jest na tyle krakowską co i — winiarnianą. Od tego momentu kończy się romantyczny początek flirtu z twórczością, a zaczynają się mnożyć historyczne rezultaty zdawałoby się, przypadkowej decyzji. Krakowska szkoła, świeżo zreformowana (1895 rok) przez następnego po Matejce dyrektora, Juliana Fałata, — korzystniejszy usytuowana politycznie niż środo wisko warszawskie w terroryzowanym „Przywiślańskim Kraju”, swobodnie poddaje się ogólnoeuropejskiemu fermentowi w sztuce, żywiołowym fascynacjom nowych teorii estetycznych. Termin „Młoda Polska” odnosi się przede wszystkim do podwawelskiej twórczości. Pozostałe ogniska kulturalne nie zalewającego de iure kraju, są zaświecane echem autentycznych żywiołów.

Xawery Dunikowski już po dwóch latach (studia w zasadzie trwały pięć lat) ze złotym medalem za impresjonistyczny maj-

sterszyk „Portret artysty malarza Henryka Szczyglińskiego” kończy naukę i rozpoczyna samodzielną twórczość z miejsca, bez walki zdobywa uznanie komentatorów, także zagranicznych. Jego rzeźby różnokształtne w formie, ocierające się o liczne następujące po sobie style, są przede wszystkim metaforą duchowych treści. Zgodnie z modernistycznym poglądem na świat i twórczość, są otwarte, wypracowane z cielesności na rzecz nagiej i duszy i prawdy. Młodopolska filozofia

i niezrozumiale dla nich samych procesy dziejące się w nich. Forma to sposób ukazywania treści, rezultat perfekcyjnego odkrywania materii aż do całkowitego stonienia idei, wyklarowania się humanistycznego tekstu. Twórczość to umiejętne odkrawanie wiorów aż do ostatniej warstwy, poza którą jest już tylko delikatny miąższ sensu. Postępowanie dalej byłoby uszczuplaniem, kaleceniem treści, która ma być naga i o niedrażnionym naskórku. Wbrew tradycyjnej ikonogra-



„Technienie”. Blacha patynowana. 1903 r.

treści, oparta na symbolicznych procesach biologicznych, takich jak: wzrost, pączkowanie, kwitnienie, owocowanie — ekspansywność, bujność, płodność Życia, narodziny i śmierć — Dunikowskiego przybera kształty o znaczeniu historycznym dla sztuki polskiej. I tak cztery posągi „Kobiet brzemienne” (z 1906 roku), secesyjnie miękkie w modelunku, mają brzydkie twarze, bierne postawy, ale są poetycznie pogrążone w sobie, wsiuchane w tajemnicze

filii „Ewa” z 1906 roku ma krzywe, chude nogi, obwisłe ciało, jest brzydka i bardzo proletariacka, stanowi personifikację najpoważniejszego dramatu — życia. Patrząc na nią zmuszeni jesteśmy myśleć kategoriami bardziej zasadniczymi niż tylko estetyczne. Estetyka przydaje się do stwierdzenia odpowiedzialności formy, do przedstawionego zagadnienia. Podobnie w naturalistycznym zobrazowanym „Jarmie” pod dani jesteśmy oddziaływaniu me-

taficznej filozofii. W bezlitośnie brzydkim ciele tkwią prawdy ogólne i wieczne, przerażające swą bezwzględnością, naturalistycznym, zbyt czytelnym wyrażeniem, biologiczną koniecznością, męki narodzin i męki śmierci. Dunikowskiemu zawsze o to chodziło. Unikał form klasycznych, zbyt zamkniętych, jako że ich ciasnota określać mogła tylko ciało, a on wyrażał sens istnienia, wypadkową w nieskończoność, w wieczność. Tematy i sposób obrazowania zmienia w zależności od podmiotu. Raz będzie to liryczne „Macierzyństwo”, innym razem wielopostaciowa kompozycja „Adoracji Chrystusa” znad portalu kościoła Jezuitów w Krakowie, lub po prostu symbolizujące „Technienie”. Dążenie do syntezy i wzięłości formy występuje przede wszystkim w „Grobowcu Bolesława Śmiałego”, psychologicznie nadzwyczaj trafnej rekonstrukcji historycznej. Królewska postać o luźno spojonych, blokowych członkach dźwiga się jakby niezupełnie jeszcze odgrzebana z ziemi przez archeologa. Idea przyzwyczajenia nicosć, a ściślej — unicestwienie. Innym, monumentalnym przykładem nadczasowości myśli Dunikowskiego i metamorfozy jego formy jest pomnik Czynu Powstańczego na Górze św. Anny (1949—1952), dzieło, w którym rzeźba organicznie związana jest z architekturą. Uznanie, jakim cieszył się artysta towarzyszyło mu już od momentu opuszczenia progów krakowskiej szkoły. W 1905 roku zostaje profesorem. W 1925 roku, po utwierdzeniu się państwowości polskiej, w okresie skrzętnego odnawiania relikwiarza narodowych pamiątek po niszczonej erozji rozbiorów i wojen, jego ręką powierzone uzupełnienie brakujących głów w renesansowym stropie Sali Poselskiej Zamku Królewskiego na Wawelu. Do pracy tej powraca i po drugiej wojnie światowej. Warto zaznaczyć, że w wieku 65 lat zostaje jednym z pierwszych więźniów Oświęcimia (był numerem 774), i zdołał tam przetrwać aż do wyzwolenia.

Dobrze się stało, że Muzeum Sztuki w Łodzi, w jubileuszowym dla siebie roku, zaprezentowało nam tego wielkiego rzeźbiarza, o którym każde dziecko słyszało coś w szkole, lecz niewiele dzieci miało możliwość zetknięcia się z jego uduchowioną sztuką. Z dorosłymi też chyba nie było lepiej, zwłaszcza, że twórczość Dunikowskiego nie doczekała się jeszcze rzetelnej monografii. Trochę gorzej, że Muzeum z konieczności przedstawiła nam tylko fragmenty jego przebogatej twórczości, całkowicie pomijając malarską działalność wielkiego człowieka. A swoją drogą szkoda, że Xaweremu Dunikowskiemu nie przepisano Królikarni na niepodważalną własność, choćby na dzień przed śmiercią, wszakże jego osoba już od dawna była zabytkiem — narodowym! Piękne by to było.



SIEW ŻYCIA

Wiele napisano o tych, którzy marsz swój zaczęli od wioski Lenino a skończyli na gruzach Reichstagu. Ale ten zbiór reportaży, noszący znamienity tytuł „WIOSNA ZACZĘŁA SIĘ W STYCZNIU” mówi o nich nieco inaczej. Przeprowadzona w reportażach próba rekonstrukcji tamtych dni, oparta na faktach i rozmowach z ludźmi, obrazuje historyczny już proces normalizacji życia, który oznaczał wtedy nie co innego jak pierwszy siew, pierwsze szyby w oknach, pierwsze tablice z polską nazwą miejscowości... Fascynująca to opowieść o pionierach — pierwszych gospodarzach, odstawiających na chwilę w „kozioł broń” i w mundurach orzących ziemię, siejących ziarno. W mundurach — bo na zdjęcie ich było jeszcze za wcześnie — dopiero co zasiane pola przekazywali cywilom, którzy przybyli za nimi na Ziemię Odzyskaną. Sami brali broń z koziołów, bo czekał ich jeszcze ostatni marsz. Marsz przez Odrę i Nysę. Najtrudniejszy dlatego właśnie, że ostatni. Oni pierwsi brali w posiadanie ziemię, czekającą na nich od stuleci. Pierwszym siewem, pierwszą wyoraną skibą przypieczętowali największe i najrealniejsze zwycięstwo naszej 1000-letniej historii. Są to więc reportaż o pionierach Ziemi Odzyskanych. Ziemi, na których dzisiaj pięćdziesiąt procent obywateli to ludzie urodzeni tam, tam wychowani i tam wykształceni. Dla nich czas rozlepkotanych ciężarówek wiozących na zachód pierwszych osadników, czas „odstawionych na krótką chwilę karabinów i rusznic” — jest historią. Historią, która była dniem poprzednim ich ojców i matek.

A. G.

„Wiosna zaczęła się w styczniu”, opracowali: Sylwester Golec, Ireneusz Ruszkiewicz, MON, W-wa.

KAZIMIERZ PASZKOWSKI

Ze wspomnień wydawcy

Właścicielem księgarni był Alfred Altenberg, genialny, ale nieobliczalny księgarz i wydawca, który był też pod stałą kuratelą matki-staruszki, zawsze obecnej w księgarni. W jego głowie zawsze roilo się od planów wydawniczych. Miał nie tylko świetne pomysły, ale potrafił je sam zrealizować. Siedział w Ossolineum, w różnych bibliotekach i

muzeach, myszkował u prywatnych właścicieli obrazów, sztychów i innych dzieł sztuki i potrafił sam wyszperać wszystkie ilustracje do wszystkich dzieł Chłędowskiego. Pragnąc np. wydać poważne dzieła Grottera, Antoniewicza i Potockiego oraz reprodukcje rysunków Grottera w cyklach jak: Polonia, Litwania i innych, nie dysponował wydawcą żadnym materiałem ilustracyjnym do zamierzonych dzieł. Wtedy wpadł Altenberg na świetny pomysł: zorganizował przy pomocy miejskich władz Lwowa wielką wystawę rysunków Grottera, poruszył Wiedeń i całą Austrię, wszystkich prywatnych posiadaczy jego obrazów i szkiców, po czym zaczął kopiować każdy bez wyjątku rysunek i szkic i w ten sposób zdobył potrzebny materiał ilustracyjny. Miał Altenberg stałego doradcę literackiego w osobie Stanisława Wasylewskiego.

Wasylewski, bardzo zdolny dziennikarz, historyk i eseista, oraz znawca sztuki — Mycielski, pomagali Altenbergowi w jego niektórych pomysłach wydawniczych. Stale zadłużony, bankrutował ten znakomity i z wielkim gestem edytor kilkakrotnie i kilkakrotnie bogate lwowskie mieszczaństwo stawiało go na nogi. Altenberg mając jakiś plan wydawniczy, nigdy nie liczył się z pieniędzmi, pożyczal na prawo i lewo i zawsze chodził bez grosza. Jego pomysły wydawnicze przerastały jego możliwości finansowe.

Dział hurtowy i wydawniczy w

księgarni Altenberga prowadził stary łódzki księgarz, Rudolf Wegner, Księgarnia: Rychniński i Wegner istniała w Łodzi, skąd Wegner przeniósł się do Lwowa. Opuściwszy stanowisko u Altenberga, stał się Wegner jego wielkim antagonistą i konkurentem. W roku 1918 założył we Lwowie „Wydawnictwo Polskie” spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością.

Sam nie mając kapitału w ogóle, sprzedawał poszczególne udziały spółki najliczniejszym znajomym, zachowując sobie 51 proc. w przedsiębiorstwie i w ten sposób rozwinął firmę i doszedł z czasem do olbrzymiego majątku. Wkrótce po założeniu przeniósł firmę do Poznania na ulicę Zwierzyniecką 5 przy drukarni niemieckiej, gdzie Niemcy z poznańskiego wydawali „Posener Tageblatt”, a Wegner drukował w tej drukarni wszystkie książki, na kredyt regulowany, tzw. klientowskimi weksłami. Poznałem go w roku 1913 i nigdy nie przypuszczałem, że kilkanaście lat później obejmę w jego firmie w Poznaniu stanowisko kierownika wydawniczego na miejsce dr Stanisława Lama, który przeniósł się do firmy: Trzaska Evert i Michalski.

Wegner dorobił się fortuny na wydawnictwie powieści Rodziwczonowy „Biblioteczka Laureatów Nobla”, „Cudach Polski”, „Biblioteczka Autorów Polskich” i dosłownym naśladownictwem cyklu niemieckich powieści kryminalnych Ullsteina: „Die gelben Bücher”. Do pracy mej w „Wydawnictwie Polskim” w Poz-

naniu powrócił jeszcze we właściwym miejscu. Tymczasem wrócić do Lwowa, do lat 1912—14.

Księgarnia Altenberga we Lwowie posiadała największy sortyment polski, bo miała przedstawicielstwo księgarskie E. Wende w Warszawie. Prócz polskiego był sortyment francuski i niemiecki. Dział niemiecki prowadził rodowity Niemiec Holz, dział francuski — Iwancko, dział polski — Pokrywka. Prócz powyższych pracowali tam księgarze: Arbaszewski i Gustaw Szylling, krewny profesora Ernsta, autora „Astronomii”, którą wydał Altenberg. Pokrywkę spotkałem wiele lat później w Warszawie, w stopniu pułkownika, Gustaw Szylling założył po pierwszej wojnie księgarnię w Warszawie, którą prowadził najpierw sam, później z bratem i niebawem obaj umarli.

Alfred Altenberg umarł tragicznie w stosunkowo młodym jeszcze wieku. Miał polipa w nosie i namówiony przez profesora Szymonowicza, autora „Histologii”, zgodził się na operację. Zabieg wykonał sam Szymonowicz, doradził Altenbergowi przez trzy dni pozostać w domu i nie usuwać waty z nosa. Ale Altenberg miał nazbyt żywy temperament, by zastosować się do tej cennej wskazówki. Wkrótce po operacji wyjął z nosa watę i poszedł na bridaż do kawiarni „Roma”. Tam wśród dymu i wyciewów dostała się do otwartej rany w nosie jakaś infekcja, w wyniku której nastąpiła śmierć po kilku dniach.

Dla polskiej kultury wydawniczej w pierwszym ćwierćwieczu XX stulecia, położył Altenberg wielkie zaśluzgi.

Drugą ważną placówką księgarsko-wydawniczą była przed pierwszą wojną światową we Lwowie „Księgarnia Polska” Bernarda Połonieckiego, na rogu ulicy Akademickiej. Właściciel firmy, lysawy pan średniej tuszy i wzrostu, z boczną „pożyczką” włosów na lysę głowie, nie miał określonego planu wydawniczego i wydawał książki z wielu dziedzin. Zasługą jego było wydanie niektórych dzieł Stanisława Brzozowskiego, jak: „Legenda Młodej Polski”, „Sam wśród ludzi”, „Plomienie” i innych. M.in. wydawał Bibliotekę „Symposion” pod redakcją Leopolda Staffa. Staff pochodził z rodziny lwowskich właścicieli cukierni. Był niższej średniego wzrostu, szczupły, szatyn z małymi oczkami i nosił zawsze brodę. Bardzo skromny i przemily w obejściu, zachodził bardzo często do księgarni, jakiś czas konferował w gabinecie Połonieckiego, po czym od czasu do czasu obaj wychodzili na kawę do cukierni Kazimierza Sotzka. Staff był wówczas najpopularniejszym poetą polskim, a wszystkie tomy jego poezji wydawał Połoniecki w niebieskiej okładce. Utwory Staffa cieszyły się ogromnym powodzeniem i każdy nowy nakład szybko się wyczerpywał. Czytali Staffa nie tylko Polacy, uwielbiała jego utwory również młodzież i inteligencja żydowska.

W roku 1908 wydał Połoniecki

Walka narodu polskiego z okupantem dostarcza ciągle tematyki dla historyków zawodowych i szerokiego grona ludzi, interesujących się najnowszymi dziejami Polski. Podczas kilkuletniego okresu okupacji naród polski, który w myśl planów okupanta podany został systematycznemu procesowi biologicznej zagłady, a jego kraj zatracił wszelkie znamiona polskości, ujawnił waleczność i wolność podjętej w sytuacji wręcz beznadziejnej. Duży w tym udział ludności wiejskiej, która już od pierwszych dni okupacji rozpoczęła działalność konspiracyjną, skierowaną przeciwko okupantowi, włączając się tym w szeroki front Ruchu Oporu.

W ostatnich latach ukazało się wiele historycznych publikacji naukowych i popularnych, dotyczących problematyki Ruchu Oporu w Polsce, mimo to daleko jest jeszcze do opracowania tego zagadnienia. Zbyt mało miejsca w dalszym ciągu poświęca się badaniom wkładu wsi polskiej w działalność konspiracyjną.

Dość trudności w prowadzeniu tych badań nastroża brak wystarczającej bazy materiałów źródłowych, pozwalających na odtworzenie Ruchu Oporu. Zasadniczą cechą konspiracji była bowiem naddale posunięta ostrożność, ograniczająca lub wprost wykluczająca posługiwanie się wszelkimi dowodami rzeczowymi. Mam tutaj na myśli głównie różnego rodzaju rejestry uczestników działalności konspiracyjnej, sprawozdania ze spotkań, szkoleń i akcji partyzanckich, informacje strony przeciwnej — władz administracyjnych oraz policji niemieckiej — nie zawsze odpowiadający rzeczywistości. Zresztą i te uległy w dużym stopniu zniszczeniu przez samych Niemców, uciekających w pośpiechu przed wojskami radzieckimi.

Współczesny historyk lat okupacji zdany jest w dużej mierze na relacje żyjących jeszcze ludzi, głównie uczestników Ruchu Oporu. Na terenie województwa łódzkiego gromadzenie relacji w sposób zorganizowany prowadzi m. in. wspólnym wysiłkiem studentów Koła Historyków Uniwersytetu Łódzkiego i Okręgowa Komisja Historyczna Związku Bojowników o Wolność i Demokrację w Łodzi.

Od kilku lat w okresie wakacyjnym organizowane są studenckie obozy badawcze, których głównym zadaniem jest zbieranie relacji drogą wywiadu ustnego od żyjących jeszcze uczestników Ruchu Oporu i przekazanie ich następnie do użytku w formie referatów sprawozdańczych.

W tym roku badaniami tego rodzaju objęty został pow. wieluński. Zlokalizowana tutaj na terenie miasta Praszki grupa studencka w ciągu miesiąca sierpnia prowadziła badania na obszarze całego powiatu. Wiele uwagi poświęcono także działalności ruchu ludowego w konspiracji.

Problem ten nie znalazł jeszcze należytego oświetlenia w dotychczasowych, nielicznych zresztą pracach,

dotyczących dziejów województwa podczas II wojny światowej. Skąpa ilość materiałów źródłowych nie pozwala w dodatku na gruntowne przebadanie konspiracji ludowej, a szczególnie działalności Batalionów Chłopskich — organizacji wojskowej ruchu ludowego w czasie okupacji. Dużą pomocą w nadrobieniu tych braków stanowią właśnie relacje uczestników. I tutaj praca zespołu studenckiego okazuje się bardzo przydatna. Spośród 90 zebranych relacji ponad 30 dotyczy lub pochodzi wprost od respondentów, uczestniczących w konspiracji ludowej. Są nimi przeważnie żołnierze Batalionów Chłopskich.

Przed wojną na terenie pow. wieluńskiego znajdowały się silne ośrodki ruchu wcielowego i Ludowego. Wojna i wraz z nią okupacja hit-

leńska przerwały ich jawną działalność. Jednakże wciarze i ludowy, podobnie zresztą jak ogół ludności wiejskiej, nie pogodził się z utratą niepodległości. Już w październiku — listopadzie 1939 roku przystąpili do tworzenia pierwszych tajnych grup. W ten sposób z inicjatywy działaczy ludowych poczęły się tworzyć chłopskie grupy konspiracyjne, w których uczestniczyli młodzi i starzy. Przeważali jednakże przedstawiciele młodszego pokolenia, wciarze, którym łatwiej było znosić trud życia konspiracyjnego. Grupy te w początkowej fazie poruszały się podporządkowo do założonej w końcu września Służbie Zwycięstwa Polski.

Nie wybierano wówczas nazwy organizacji, najważniejszym zadaniem wydawała się walka całego narodu przeciwko okupantowi. Zrozumiałe jest więc, że te pierwsze chłopskie grupy konspiracyjne zrazu odkładały rozwiązanie tych kwestii społecznych, które stanowiły podstawę założeń ideologicznych ruchu ludowego. Szybko jednak przekonali się ludowcy, że nie ma dla nich miejsca w organizacji opowanej przez zwolenników skompromitowanych rządów sanacyjnych. Rozpoczęli też wkrótce, podobnie zresztą jak w całym kraju, organizować własne, niezależne grupy konspiracyjne.

JANUSZ SOCHA

Chłopski ruch oporu na Ziemi Wieluńskiej

Powstała wiosną 1940 roku Wojewódzkie Kierownictwo Ruchu Ludowego napotkało na terenie powiatu wieluńskiego zorganizowaną już konspirację ludową. Obok znanego działacza ludowego — Piotra Chwałkińskiego, na czoło działalności konspiracyjnej wysunęli się tutaj: Andrzej Kaczmarek z Nowej Wsi — przed wybuchem wojny aktualny

prezes Zarządu Powiatowego ZMW „Wici” oraz Stanisław Dera i Tomasz Kusiak. Oni też przejęli na siebie główny ciężar tworzenia Straży Chłopskiej, a Kaczmarek mianowany został rozkazem Komendanta O. kregu V — Łódź, komendantem obwodu na powiat wieluński. Jesienią 1941 roku funkcję tę objął Dera. Wówczas też nastąpił szybszy rozwój organizacji, działającej już pod nazwą Batalionów Chłopskich. Z rejonu kilku gmin — Kiełczygłów, Mierzyce, Radoszewice, Ziemkowice i Starzenie do końca wojny BCH pokryły siecią organizacyjną teren całego powiatu wieluńskiego.

Trudny jest dziś do ustalenia stan liczebny BCH w powiecie. Stanisław Dera pisze o 122 żołnierzach według stanu na dzień 1 marca 1944 roku. Liczba ta wydaje się zaniżona. Do wódca wszystkich oddziałów taktycz-

nych BCH w powiecie, Franciszek Szymanek wspominał uczestnikom obozu badawczego o kompanii działającej na terenie gminy Starzenie, liczącej 89 żołnierzy. Był to zapewne największy oddział BCH w powiecie. W innych gminach liczebność oddziałów była niższa. Dość liczny, bo 36-osobowy oddział zorganizowano we wsi Turów gminy kurowskiej, gdzie przed wojną prowadził ożywioną działalność koło „Wici”. P. Szymanek wspominał także o trzech działaczach wciowych — Feliksie i Stefanie Osydach oraz o Stanisławie Rabikowskim ze wsi Czernice gminy radoszewickiej, który w 1943 roku zorganizował tutaj 12-osobowy oddział BCH.

Najmniejsze chyba oddziały tworzone w północno-wschodnich rejonach powiatu, gdzie przed wojną organizacja wciowa była słabsza. Ich liczebność dochodziła tutaj do 10 ludzi. Relacje p. Szymanka potwierdzają wcześniejsze nasze spostrzeżenia o zależności pomiędzy rozwojem sieci organizacyjnej „Wici” i SL, a włączeniem się chłopów w nurt życia konspiracyjnego. Pozwalają również poddać w wątpliwość obiegiwą liczebność BCH na terenie powiatu, podaną za niepełną relacją Dery. Wprawdzie sieć oddziałów BCH nie była jednolita, ale w sumie stan liczebny żołnierzy musiał być wyższy. Niezależnie od stwierdzonej wyżej zależności możliwość organizowania wsi w konspiracji, a więc także stan liczebny oddziałów BCH uzależniony był od sytuacji politycznej powiatu. W pierwszych miesiącach wojny powiat wieluński — wspólnie z kilkoma innymi powiatami (kutnowskim, łaskim, łęczyckim,

łódzkim i sieradzkim) wszedł w skład tzw. kraju Warty (Warthegau), przyłączonego do Rzeszy. Okupant rozpoczął tutaj masowe wysiedlanie ludności polskiej. Duży nacisk położyli Niemcy na zniszczenie, bądź usunięcie mieszkańców wsi. Na miejsce wysiedlonych gospodarzy polskich sprowadzono osadników niemieckich z Wołynia, Ukrainy, Litwy i Besarabii, zwanych tutaj pospolicie „wołyńiakami”. W rezultacie tych wysiedleń liczba ludności polskiej na wsi zmniejszyła się o połowę, a w dziedzinie urodzajnych rejonach powiatu Niemcy stanowili na wet 80 proc. mieszkańców wsi.

Tak duże nasycenie elementem niemieckim poważnie zmniejszyło możliwości organizacyjne ruchu oporu. Wpływało również hamująco na wszelkie zamierzenia akcji zbrojnych przeciwko okupantowi, co z kolei nie sprzyjało rozwiązaniu trudności wyposażenia oddziałów w broń. Nie można było liczyć na broń zdobytą. Odszukiwano, przechowywano od czasów kampanii wrześniowej karabiny polskie, lecz te nie zawsze nadawały się do użytku. Po trzech w zakresie uzbrojenia nie mogły też zaspokoić nieliczne zrzucone bronie. Stan ten musiał wyrzucić swój wpływ na charakter tutejszej działalności konspiracyjnej, którą ograniczono do presji wobec Niemców oraz nielicznych akcji sabotażowych.

Mimo tak trudnych warunków oddziały BCH przeprowadziły kilka udanych akcji zbrojnych. Wyliczyć można dla przykładu zniszczenie posterunku obserwacji przeciwlotniczej przez oddział w składzie: Michał Gluch, Franciszek Krzemień, Waleń ty Miśiak, Antoni Skupiński, Mikołaj Sobierań i Franciszek Szkludarek. Oddział ten ze skutkiem stosował również presję na Niemców, odznaczających się szczególnie brutalnością wobec ludności polskiej. Stwarzanie Niemcom stałej groźby ukarania przez oddział partyzancki dawało ochronę ludności polskiej przed represjami okupanta.

W porównaniu do całego województwa działalność konspiracyjna ruchu ludowego w pow. wieluńskim oceniana jest skromnie. Nie może to jednakże przesądzać o utrzymaniu się, pozostającej zresztą w mniejszości, opinii wprost negującej działalność chłopskiego ruchu oporu na Ziemi Wieluńskiej.

Niezwykle trudne warunki życia okupacyjne nie załamały tutejszych chłopów, zwłaszcza tych, którzy uczestniczyli, bądź związani byli przed wojną z ruchem ludowym. Wiele dawała główne wsparcie dla wszelkiej działalności partyzanckiej, skierowanej przeciwko Niemcom, niezależnie od jej profilu politycznego.

O sile konspiracji ludowej na tym terenie świadczą wreszcie przygotowanie do przyjęcia władzy administracyjnej w powiecie z chwilą odzyskania niepodległości. Zadanie to żołnierze BCH wykonali w zupełności i nie dopuścili elementów prawicowych do objęcia władzy na terenie wszystkich gmin powiatu.

POLOINICA

MAC ORLAN

Na atak serca zmarł w swej niewielkiej posiadłości wiejskiej, odziedziczonej po żonie, jeden z najstarszych współczesnych prozaików francuskich, członek „Akademii Goncourtów”. Pierre Mac Orlan. Polscy bywalcy filmowi na miętają wrażenie, jakie sprawił film osnuty na jego powieści „Ludzie za mgłą”, w reżyserii Marcel Carné, z fascynującymi rolami Michéle Morgan i Jean Gabina. Ten film, poetycki i tajemniczy, fantastyczny, a niesłychanie dramatyczny, stanowił szczyt wybitnego i nowoczesnego grafii francuskiej, jedno z najświetniejszych jej osiągnięć. Mac Orlan przyznał się we wczesnej młodości z Apollinarem, P. A. Brotem i Picassem, a później z Aragonem. „Les Lettres Françaises” zamieściły piękne pożegnanie Mac Orlana. Jako pisarza oraz wielbiciela nowoczesnego sportu, szczególnie kolarstwa i rugby (któremu to sportowi jest poświęconia ostatnia jego książka). „Kto powiedział, że śmierć jest koniecznością? Kto to wymyślił?” — żartował sobie kiedyś Mac Orlan. Ciekło już chore, odbywając ostatnią w życiu podróż ze szpi-tała do domu, nie wierzył, że dojedzie. Jednak raz jeszcze mógł przed śmiercią zobaczyć ukochane drzewa swej „fermy”. Szkoła, że twórczość tego autora jest u nas niemal całkowi-cie nieznana.

(W. N.)

WARTOŚĆ SZTUK POLSKICH

Prasowy organ Ludowego Teatru Romańskiego („Journal du Théâtre Populaire Romand”) w numerze lipcowym 1970 roku (nr 55), w artykule Charles Jorisa stwierdza: „Zwracamy się także ku teatrom czy dramatopisarzom angielskim, niemieckim, polskim czy amerykańskim, lub ku wielkim formom teatru dawne-go”.

(W.N.)

POLOINICA

„Wybór Poezji” Cypriana Norwida. Wyboru dokonał 27-letni wówczas supient gimnazjalny — Roman Zrebowicz, który nie opatrzył swej pracy najmniejszą wzmianką biograficzną o Norwidzie. Gdy po drugiej wojnie światowej spotkał się w Łodzi, a on był wówczas kustoszem muzeum i przypomniałem mu ten szczegół, rozłożył bezradnie ręce i tłumaczył się, że nie dysponował jeszcze wówczas żadnym biograficznym materiałem o Norwidzie. Cztery lata później w roku 1912 wyszło drugie wydanie tychże poezji Norwida, nie zmienione i również bez biograficznego wstępu, choć Adam Krechowicki wydał już swoją autorze „Promethidona”. Roman Zrebowicz był znanym miłośnikiem dzieł Norwida i choć nie był odkrywcą Norwida, jak to sądził po tej wojnie niektórzy młodzi poloniści Uniwersytetu Łódzkiego, pozostaje jego zasługą to, że był trzecim z kolei, po Miriamie i Krechowickim popularizatorem dzieł naszego najtragiczniejszego poety. Oprócz „Wyboru Poezji” wydał Zrebowicz u Połonieckiego — Norwida: „Czarne i Białe Kwiaty”.

Trzecią większą księgarnią była w tamtych czasach firma: Gubrynowicza i Szmidta”. Mieściła się na Placu Kapitulnym, w pobliżu restauracji Nafuty-Toepfera. Właścicielem jej był Kazimierz Gubrynowicz ojciec Bronisława Gubrynowicza, późniejszego profesora Uniwersytetu i historyka literatury. Szef firmy zatrudniał sam klientów na

froncie i zatrudniał w samej księgarni przeważnie jednego pracownika. Stara ta firma wydawała książki z dziedziny humanistycznej, a w okresie mojej młodości chyliła się już ku upadkowi. Zasluga jej jest, że wydała pierwszą książkową pozycję o Norwidzie, na ponad dwieście istniejących dziś pozycji bibliograficznych. Była to praca Adama Krechowickiego w 2 tomach pt. „Cyprian Norwid”.

I niech się dziś nasi norwidolodzy, jak Jastrun, Gomulicki i Piechal weale nie zdziwią gdy im na tym miejscu przypomnę, że pierwszym i właściwym odkrywcą nie był Miriam-Przesmycki, lecz Adam Krechowicki. Na czym opieram moje supozycje, mógłby mnie słusznie zapytać ktoś szczególnie zainteresowany? A oto moje wyjaśnienia: Zimą roku 1915 przypadkowo poznałem w Wiedniu starszego już i siwego pana, który przedstawił mi się jako syn Adama Krechowickiego. Z tematu na temat, przeszliśmy na literaturę i na... Norwida. A oto relacja Krechowickiego juniora:

„...Wkrótce po śmierci Norwida (1883) ojciec mój nawiązał kontakt z rodziną poety pozostałą w kraju i korespondencję z przyjaciółmi i znajomymi poety, żyjącymi na emigracji w Paryżu. Zbierał długo materiały do swej pracy o Norwidzie, jeździł kilkakrotnie do rodziny poety i upłynęło szereg lat zanim to wszystko zgromadził i zaczął pisać. Pisał bardzo wolno, bo miał

szereg innych zajęć jako publicysta i redaktor naczelny. Pracę rozpląnował na dwa tomy, chciał najpierw wydać tom I i rękopis tego tomu złożył u Gubrynowicza i Szmidta. Ale firma odmówiła wydania pierwszego tomu i oświadczyła, że jeśli wyda to tylko całość. Z konieczności zatem musiał ukończyć tom drugi, żeby uzyskać zadość wymaganiu firmy. Całość ukończona była w latach dziewięćdziesiątych XIX wieku i złożona firmie wydawniczej. Firma długo przetrzymywała rękopis ojea, co go ogromnie irytowało, obawiał się bowiem ryzyka, czy książka pójdzie”.

Wielbiciel po wielu latach jako dopióber Norwida doszedłem do konkluzji, z którą mogą się zgodzić lub nie zgodzić nasi norwidolodzy: Adam Krechowicki był pierwszym autorem pracy o Norwidzie, a Miriam-Przesmycki pierwszym edytorem spuścizny literackiej po Norwidzie. Gdy Miriam zaczął w roku 1901 wydawać „Chimerę”, Krechowicki miał już gotową swą pracę o Norwidzie. Norwid słusznie przeczuł renesans swej twórczości na pokolenie wnuków. „Syn mnie dzieli, lecz ty spomnisz wnuku”. I akurat na początku XX wieku pokolenie wnuków dojrzało, by pojąć i zrozumieć poezję Norwida. W tym okresie, 1908—1915, utwory Norwida czytało chętnie pokolenie wnuków w Galicji; zapomniały poeta odzyskiwał swe znaczenie, a jego wielkość zaczęła być oceniana właściwą miarą.

Obok Jana Kasprowicza, Leopolda Staffa i innych współczesnych poetów i pisarzy, coraz większą popularność zdobywał Kornel Makuszyński. Syn austriackiego rolnictwa, rozpoczął swą literacką karierę tomem poezji pt. „Połów Gwiazd”. Sławę zdobył swymi felietonami. Jego słynne „Listy z Zakopanego”, „Awantury Arabskie”, „Fatalna Szpilka” i szereg innych tomów zawierających humorystyczne felietony, cieszyły się wyjątkową poczytnością. Był pogodny, wesoły, bardzo dowcipny i miał duże poczucie humoru.

W dzienniku lwowskim „Słowo Polskie” prowadził Makuszyński dział recenzji teatralnych i pisywał słynne swe felietony. Recenzje jego ukazały się następnie w 2 tomach wydania książkowego pt. „Dusza z Papieru”. Nigdy nie napisał źle o żadnej aktorze ani o aktorze. Wszystkich chwalił, w ezambut, a gdy już nie mógł kogoś pochwalić, recenzję swą podał w tak kulturalnej i życzliwej formie, że nikt nie mógł czuć do recenzenta najmniejszego żalu. W ten sposób zdobył sobie cały świat aktorski i odrzucił się od zjadliwego Adama Zagórskiego, który w swych recenzjach nie był powściągliwy.

Makuszyński znał mnie jako 16-letniego ucznia. Po pierwszej wojnie światowej przeniósł się ze Lwowa do Warszawy. Pracował w redakcji dziennika „Rzeczpospolita”. Pismo to finansował Ignacy Paderewski. Na ulicy Nowy Świat, na pierwszym piętrze, mieściła się

wielka restauracja „Astoria”. W pierwszej sali, naprzeciw ogromnego bufetu stał okrągły stół, a na nim stały napis: „Stół ten zarezerwowany dla J. W. Pana Kornela Makuszyńskiego”. Bywał tam Makuszyński codziennym gościem, jadł obiady i kolacje, popijał, urządził rozmaite uczy i przyjęcia. A kto za nie płacił? „Boski” Kornel miał tytuł przyjaciół, kolegów i sympatyków, że istotnie rzadko sięgał do kieszeni. Bawił wszystkich swoim dowcipem i humorem, swoimi powiedzonkami i znany był jako pomysłowy „Kawalarz”. Bywało, do jego stołu dosuwaną stół sąsiedni, drugi i trzeci i grono jego „kumpli” ze świata artystyczno-literackiego i dziennikarskiego bawiło się do późnej nocy.

A tymczasem w domu Makuszyńskiego, przy ulicy Widołk w Warszawie siedziała małutka i szczuplutka pani, pierwsza żona autora „Pieśni o Ojczyźnie” — i układała pasjansa, kiedy, kiedy wrzesie wróci do domu jej małżonek. Za poemat „Pieśń o Ojczyźnie” napisany oktawami wszedł Makuszyński do Akademii Literatury. Był wielkim optymistą, pełną radości życia, miał coś z Dickensa i Marka Twaina, ale był to talent o samorodnych i oryginalnych koncepcjach twórczych.

Po pierwszej wojnie światowej spotkałem go w Warszawie, a jak zostałem jego wydawcą, o tym później.

(c.d.n.)

ANDRZEJ GRUN

Splowiała barwa amarantu

Hemingway miał powieść dzieć przy jakiejś okazji, że gdyby nie było wojen, nie byłoby literatury. Ten efektowny paradoks zawiera spora dozę prawdy. Ilekroć bowiem wspaniałych kart poświęcono tej ohydnej czynności, której ludzkość od samego swego zarażenia oddaje się z taką namiernością. Ile arcydzieł powstało z gloryfikacji wojennego trudu, żołnierskiego rzemiosła, z apoteozy tych, którzy poświęcili swe życie. Wojna była i pozostaje nadal tylko wojną. Pozostała śmiercią, okaleczeniem, unicestwieniem, strachem, bólem... Pozostała tym, przeciw czemu buntować się musi w swym najgłębszym jestwie każdy normalny człowiek. A jednak dopiero literatura XX wieku zaczęła nam na wojnę patrzeć jak na najwyższą ohydę. Nie za wsze tak było. Pieśń o Rolandzie towarzyszyła ludzkości przez stulecia. W szeregach, pośród charkotu kołnających, jęków ranionych, w smrodzie i brudzie bitewnych pól powiewała jak czyści, najświętszy proporzec. Pieśń o Rolandzie i pieśń o Izoldzie — dwa żelazne wiatki literatury. Dopiero w naszym stuleciu literatura i wojnę i miłość pokazała inaczej...

A malarstwo? Obrazów batalistycznych namalowano chyba równie wiele, co obrazów opiewających piękno kobiecego ciała. Najstarsze sceny bitewne oglądamy w grotach Altamiry, Lascaux, na skałach w Cueva de los Caballos i Les Combarelles. Na freskach egipskich i w zach greckich. Jedenastowieczne tkaniny z katedry w Bayeux opiewają chwale zwycięskich Normanów, doznających krótkimi miesiącami Anglików na ich własnej ziemi.

Paolo Ucello opętany moją wojaczką perspektywą trójwymiarowej malował i

malował bez końca bitwy kawaleryjskie zmieniając je w kolorowe układy drewnianych zabawek...

W tym samym czasie Andrea del Verrocchio rzeźbił w Wenecji groźny, pełen powagi, dostojny i chwalebny pomnik żołdaka Colloniego, a wykształceni Medyceusze chętnie pozwalali portretować się w zbrojach...

Francisco Goya i Laurientes który w ukochanej kobiecie, Cayetanę, jedenastej księżniczce Alba widział diabła — ustokrotnionego diabła widział w Okropnościach Wojny. Ale ten chłop andaluzyjski ze wsi Fuendetodos, pyszniący się tytułem pintora de camara, był pierwszym i na długie lata jedynym, który wojnę przedstawił nie jako barwny rycerski turniej, a jako normalną rzecz. Ten wyjątek niczego nie dowodzi.

J. L. A. Theodore Gerica uli boje napoleońskie owinał peleryną romantyzmu — malował szaserów i kirasjerów na spienionych rumakach pośród bitewnych pól — jak na paradzie. Także Piotr Michałowski i De la Croix...

Impresjonści nie interesowali się batalistyką. Tworzyli we Francji, która akurat cierpiała na chwilową chorobę pokoju. Zajęli się więc pejzażem, kobiecym ciałem, kwiatami i sztucznymi światłami kafejek i lupenarów.

Przyszła jednak pierwsza wojna światowa, a po niej w Niemczech nowa fala odrodzonego ekspresjonizmu. Malarstwo grupy „Neue Sachlichkeit”, grafiki — Kate Kollwitz... to już nie była wojenka malowana, to był krzyk z głębi piersi. Krzyk rozpacz i przerażenia. W 1937 roku Picasso namalował Guernicę... Obraz, który stał się symbolem protestu, takim samym, jak jego gołobłabym symbolem pokoju...

W salach warszawskiej

Zachęty i w Domu Plastyka na Mazowieckiej otwarto wystawę „PRZECIWO WOJNIE I FASZYZMOWI”. Udział w niej biorą malarze, rzeźbiarze i graficy z krajów socjalistycznych. Oglądałem wiele podobnych wystaw i za każdym razem uderza mnie fakt, jak dalece zmienił się sposób obrazowania wojennego tematu. Jak wojna przestała być na płótnach teatrem, pełnym ruchu i ekspresji, motywem efektownych kompozycji, które tak chętnie wieszano one gdał w salonach. Jak bardzo stała się sprawą poważną i groźną. Mój Boże, czy dziś ktoś na serio mógłby namalować flirt dowódcy zwiadowcy z dziewczyną w krajkowskim stroju? Zniknęła z obrazów „wojennych” olśniewająca barwność mundurów, zniknęły buńczuczne miny i pozy, zniknęły zasnuwane mgłami pejzaże, z rozbitymi lawetami dział. W socrealizmie malowano obrazki o wojnie, ale te poszły do lamusa, bo były to tylko kolorowe obrazki, nie mówiące, tak jak nie mówią obrazki o pracy... Temat batalistyczny, tak bardzo popularny w przeszłości, nie przyniósł, poza kilkoma wyjątkami, wybitnych osiągnięć artystycznych. Wojna była albo balem kostiumowym, paradą, albo pretekstem czysto malarzkiej zabawy. Chyba właśnie ekspresjonizm niemiecki wniósł do elementu autentycznej grozy. Działająca sztuka, mówiąca o sprawach wojny, na scenę wprowadza elementy nowe — ludność cywilną, kobiety i dzieci, ludzi z

drutów, ponumerowanych ludzi w pasiakach...

Chodząc po salach wystawy warszawskiej ogląda się pożary i zgliszcza, ruiny, uciekinierów, rannych, spoplelałe pejzaże i pola bitewne. I są to obrazy zawsze brzydkie. Wojna przedstawiona jest na nich jednoznacznie — jako zła, ohydna, okrutna. Wojenka, wojenka, jesteście państwo o twarzy upiora. A twój chłopcy malowani są szkieletami, groźnymi ziemi i niebu kikutami nóg i rąk, bez oczu, bez twarzy...

Na wystawie nie ma sztuki „amarantów” zapiętych pod szyją”, zasłaniających tak skrzętnie śmierć i barbarzyństwo. Jest wymowny monumentalizm malarstwa radzieckiego, pełen patosu i literatury. Jest metaforyka niemiecka, sięgająca do tradycji ekspresjonistycznych, połączona jak zawsze u Niemców, z krytyką społeczną. Jest wymowny dzieł sztuki polskiej z Linkem, Wróblewskim, Dunikowskim, Oberlaenderem... Co uderza szczególnie, to niezbyt wyrównany poziom artystyczny poszczególnych prac. A jednak (może dlatego właśnie) całość wystawy robi wrażenie. Nie poszczególne dzieła, a właśnie całość ekspozycji. Ta manifestacja bezbarwnych, smutnych, niekiedy słabych obrazów porusza głęboko. I dlatego cel wystawy został w pełni osiągnięty. To nie kroknika wypadków, to jedynie przypomnienie. I dowód, że z tematem tym trudno się uporać. Przerasta on zlem w sobie nagromadzonym męźliwości obrazowania.

OBIEKTYW

Z wizytą na Woronicza

Tak się składa, że od kilkunastu lat stąkam się bezpośrednio z warszawską centralą programu telewizyjnego. Bywałem w Telewizji Warszawskiej gdy teatry niemal ze spół programowy mieścił się w budynku przy placu Powstańców. Gmaszysko jest wprawdzie spore, ale wszystko było tam na kupie. Wchodziło się przez niewielki bar, w którym z miejsca natykał się człowiek na Holoubka, Jędrusik, czy innych aktorów, w kostiumach, z jaszkawo ucharakteryzowanymi twarzami, wykorzystujących przerwę w próbie i popijających kawę.

Obok aktorów — Irena Dziedzic i Eugeniusz Pach, popularni prezenterzy, redaktorzy, dyrektorzy i mnóstwo innych osób, które łączył w jedną społeczność fakt pracy dla małego ekranu. Ten barok był istnym sercem telewizji. Tu przy stolikach rodziły się pomysły programowe, tu oceniano na gorąco nadane widowiska i ferowano wyroki. Tu wreszcie można było dowiedzieć się „co w trawie piszczy”, kto z kim, i tak dalej.

Bywało, że do baru wpada asystent reżysera, toczy w kole nieprzytomnym wzrokiem, przysiadł się do któregoś stolika i mówił konfidencjonalnym szeptem:

— Aktor nam nawalił. Kamery nagrane czekały, a jego nie ma. Panie Zygmuncie może by pan...

Podobno niektórzy mniej wzięci aktorzy wysiadywali w barze właśnie po to, by trafić na takie okazje. Wszycy tu się znali, od dyrektora programowego do pomocnika noszącego pudełka z filmami do telekina. Sprawy załatwiano się nie tylko w barku, ale na schodach, w windzie, na korytarzach. Było to nawet wygodniej niż prowadzić rozmowy w zagęszczonych do maksimum gabinetach.

Te wspomnienia nacierają mnie czasem, gdy dzisiaj odwiedzam Telecentrum przy ulicy Woronicza. Centrala przy placu Powstańców przypominała zatoczony warsztat rzemieślniczy, kombinat gmachów przy Woronicza, połączonych ze sobą dziesiątkami przejść i napowietrznych pasażów, to wielka fabryka.

Zdarzyło mi się już poblądzić w tym labiryncie i korzystać z uprzejmych informacji osób zatrudnionych. Miła pani, która odholowała mnie kiedyś do wyjścia, powiedziała na pożegnanie:

— Sama nieraz błędzę, choć pracuję tu od chwili uruchomienia.

Mnóstwo tu oczywiście sal prób, małych i większych studiów dźwiękowych, sal projekcyjnych, montażowni, charakteryzatorów, garderób, gabinetów redaktorskich. Zamiast jednego barku gromadzącego wszystkich, jest ich tu chyba kilkanaście. Nie ma już miejsca, w którym krzyżowałyby się drogi wszystkich. Wyparowała gdzieś atmosfera rodzinna. Ludzie pracujący w innych działach na ogół się nie znają. Podobno nawet prezesa Sokorskiego, gdy nie miał przy sobie legitymacji, portier nie wpuścił do gmachu. Wiesz gminna głosi, że dzielny służbista otrzymał potem ze szkatuły prezesa premię. Ale może całą historię należy między bajki włożyć...

Z sentymentalnego punktu widzenia może szkoda dawnej intymności. Ale wiadomo, że przemysł rzadzi się innymi prawami niż chałupnictwo. Zbyt dobrze znamy jednak prawo Parkinsona, by z małą złośliwością nie skonstatować, że przeciw program od czasów wszechwładnego barku przy placu Powstańców tak bardzo się znowu nie rozrosł. Dopiero uruchomienie drugiego programu stanowi pod tym względem wyraźny przełom. Z pewnością w mrowisku ludzkim przy Woronicza wiele jest przerosłych administracyjnych i złej organizacji. To jest cenna, jaką się płaci przechodząc na produkcję wielkopremisywną.

Rozmawiam z ludźmi, pytam jak im się w nowych murach pracuje. Odpowiadają:

— Nieźle. Tylko przydałoby się trochę więcej pomieszczeń...

WŁADYSŁAW ORLOWSKI

P.S. W Teleobiektywie pt. „SCENARIUSZOWE NIEPOROZUMIENIA” (Ogłosz. nr 32) wkraść się kilka błędów redakcyjnych, z których najbardziej nieprzyjemny jest sprostowanie. Jedno ze zdań powinno brzmieć: „Jestem wielkim miłośnikiem piśmiennictwa Zbigniewa Żaluskiego... itd.” a nie: „Zbi gniewa Zielińskiego” jak ukazało się w druku.

W. O.

Rozwiązanie konkursu

KTO WYLOSOWAŁ NAGRODY?

W wyniku losowania krzyżówki okolicznościowej z okazji 22 Lipca, wydrukowanej w nr 30(662) naszego tygodnika, nagrody za prawidłowe rozwiązanie otrzymują:

Radiodziennik tranzystorowy — **MARIAN GAIK**, Częstochowa, ul. Glogera 8/10.

Elektryczny ekspres do kawy — **MARIA ANNA GAJEWSKA**, Łódź, ul. Traktorowa 76 m. 5

Zegarek męski na rękę — **JANINA SOBOLEWSKA**, Warszawa, ul. Ożarowska 32/87.

Po odbiór nagród prosimy się zgłosić do sekretariatu naszej redakcji, Łódź, ul. Piotrkowska 96, III piętro, w godzinach 10—16.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

John Ford, autor ponad stu westernów, niewątpliwie twórca wielkiej ekranowej legendy Dzikiego Zachodu i jego bohaterów, reżyser — patrono wszystkich, co w ciągu dziejów kina e pionierskich czasach Ameryki powędziano, niemal u schyłku swego niezwykle bogatego czasu twórczości zrealizował „JESIENI CHEYENNOW”, film w ogromnym stopniu kwestionujący to, co w ciągu tych dziesiątków

lat on sam i jego uczniowie dali światowej publiczności.

Rzeczelniej rzecz widząc, trzeba by rzec, iż owo kwestionowanie przybiera częstokroć rangę oskarżenia tych, którzy w dawnych filmach byli bohaterami. Idąc dalej pamiętać trzeba, że to co na ekranach jest legendą, w istocie było historią narodu. Próby obalenia tej legendy stały się zatem muszą rewizją historii, oskarżeniem własnego społeczeństwa, odpowiedzialnego za to, co wprawdzie ukształtowało jego dzieje, jednakże obciążało sumienia winami niepodważalnymi.

Sprawy rozrachunkowe z historią własnego narodu nie są jak wiemy — sprawą prostą, nie dziwi nas zatem, że sędziwy dziś już bard tej historii — legendy ugłął się pod jej ciężarem i poszedł na kompromisy. Ie w nich udziału własnego, a ile producentów filmu, trudno nam orzec. Nasz szacunek dla Johna Forda kształtuje się w ogromnym stopniu szlachetność intencji, odwaga zmierzania się nie tylko z dziejami swego narodu, ale i z własną twórczością, a wreszcie uznanie dla niespożytych talentów artystycznych tego mistrza westernu.

Film oparty o autentyczne zdarzenia przedstawia czasy, kiedy podbicie Dzikiego Zachodu stało się faktem. Tragizm bohaterów tego filmu, Indian Cheyennowie, wygnani ze swej ziemi, żyjący w nieludzkich warunkach na przydzielonym im skrawku ziemi na południu Stanów, podejmują desperacką decyzję powrotu do swej zycznej, bogatej, rodzinnej ziemi. Film wypełniają dzieje ich dramatycznej wędrówki i posęgu za tą gromadką nędzarzy tych, którzy są zwycięzcami.

Ambicją Forda było pokazanie zdarzeń, w których oblicza ściganych i ścigających ukaza się w swym pełnym autentyzmie. Zdarzenia te w sposób prawie pełny ujawniają rasizm w jego wczesnoamerykańskim wydaniu. Tylko on bowiem mógł wywołać historię i nienawistę w stosunku do

tych, którzy nieczym już nie mogli za szkodzić zwycięskim Jankeom. Na tym le kompromisy, na które poszedł Ford w „Jesieni Cheyennów”, rozumie niejako musimy jako próbę ratowania choć w małym stopniu, honoru Amerykanów. Wymowę faktów neutralizować mają postacie białych ludzi dobrej woli, czy je łagodzą, to już sprawa dyskusyjna.

Znamienną rzeczą jest wprowadzenie w tę dramatyczną opowieść komediowej sekwencji z Dodge-City. Choć charakteryzuje ona w sposób znakomity tych, którzy wystali swych wspólnych żołnierzy przeciw garstce nędzarzy, choć sama w sobie jest bezbłędną rozprawą z wieloma mitami westernowych opowieści, to jednak jej komediowy ton nasuwa podejrzenie, że Ford znając swą amerykańską publiczność, chciał jej podać małą odtrutkę na problemy zbyt dla niej drażliwe. To samo tyczy dość sentymentalnego zakończenia całej tej historii. Inaczej trudno wytłumaczyć decyzję rozbięcia zarówno dramaturgii jak i stylistyki tego filmu.

Poza dyskusją pozostaje Ford — reżyser, którego żywiołem artystycznym od debiutu w roku 1917, czyli filmu „Tornado”, do „Jesieni Cheyennów” z roku 1964, był western.

W istocie źródła obu tych filmów szukać należy w „Czerwonych diablach” z roku 1923, po których w latach dwudziestych zrealizowano całą serię przygodów czwórki młodzieńców czerwonoarmistów, dokonujących cudów waleczności i przebiegłości w czasach wojny domowej.

Współcześni radzieccy realizatorzy biorąc pod uwagę popularność tamtych filmów i stale społeczne zapotrzebowanie na film przygodowy, powrócili do tych postaci młodych bohaterów, odnajdując w czasach, w których działali, niewyczerpane niemal źródło pomysłów przygod, które bawiąc uczył i wychowują.

„Nowe przygody Nieuchwytnych” nie są fabule pełną niezwykłych wydarzeń, dających pole do popisu dla odwagi, brawury i fantazji młodzieńskich rewolucjonistów, którzy prowadzą pojedynki z wrogiem, który, na szczęście, wcale w tym filmie nie jest głupi. Choć wiele w tych przygodach sytuacji nieprawdopodobnych (nieodłączna to cecha filmów przygodowych), to sami młodzi bohaterowie swym działaniem i charakterami potrafią przekonać i kupić dla siebie widownię. Gdy wspomnimy koszmarnego przygodowego „Tajemniczego mnicha” przeznaczonego przecież dla dorosłych, wyrazić musimy słowa uznania dla realizatorów „Nieuchwytnych”, którzy swą młodą publiczność wyżej cenią i lepiej rozumieją.

„NOWE PRZYGODY NIEUCHWYTYNYCH” — to druga seria znanego polskim widzom z ekranów telewizyjnych filmu „Nieuchwytni mściciele”.

EWA NURCZYŃSKA



Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

WIELKI RZEźBIARZ W HOLDZIE WIELKIEMU KOMPOZYTOROWI

Rok beethovenowski, stu latie urodzin wielkiego kompozytora obchodzony jest uroczystie na całym świecie. Dla uczczenia jego pamieci odbywaja się koncerty, widowiska telewizyjne, audycje radiowe, ukazuja się książki o nim i płyty z nagraniami jego utworów w wykonaniu najlepszych odtwórców. Oryginalną wystawą ku czci kompozytora jest ekspozycja beethovenowska w muzeum Bourdelle'a w Paryżu przy ul. Antoine-Bourdelle, zorganizowana przez córkę artysty przy współpracy Michela Dufeta autorstwa pt. „Le Drame de Beethoven vœcu par. Bourdelle” (Tragedia Beethovena w odczuciu Bourdelle'a).

Wielki francuski rzeźbiarz i malarz (przy okazji przypomnijmy, że jest on twórcą pomnika Ada-



Popiersie Beethovena

ma Mickiewicza w Paryżu) Antoine Bourdelle przez wiele lat pracował nad portretem wielkiego kompozytora niemieckiego. Ludwika van Beethovena. Pozostało po tej pracy, trwającej wiele lat, do końca życia, około 50 rzeźb, wiele szkiców, rysunków, projektów. Bourdelle był niezwykle wrażliwy na muzykę Beethovena, wzruszał się nią i zachwycał, studiował też życie wielkiego kompozytora. Będąc jeszcze dzieckiem ujrzał kiedyś przypadkiem w ok-

nie wystawowym księgar-ni grafikę przedstawiającą portret Beethovena. Ta twarz pełna wyrazu, zamyślenia, geniuszu zrobiła na przyszłym artyście wielkie wrażenie. Kiedy miał lat 26 wyrzeźbił po raz pierwszy portret kompozytora. Beethoven zadumany wspiera głowę na ręce. A w roku 1929, pod koniec życia, tworzy po raz ostatni swego Beethovena. Tym razem kompozytor stoi wsparty o duży krzyż. W ręku trzyma partyturę, której karty rozwiewa wiatr. Tytuł tej rzeźby: „La Pathétique”.

Zdumiewające w tej serii popiersi i rzeźb jest prócz wyczuwania tragedii i wielkości kompozytora, nie zwykła werność rysów twarzy. Znawcy zastanawiali się nad tym, aż wreszcie odkryto tajemnicę. Oto w pracowni Bourdelle'a znajdowała się maska pośmiertna kompozytora. Artysta mógł więc dokładnie studiować rysy twarzy ulubionego twórcy.

WSZYSCY MOGĄ BYĆ BIBLIOFILAMI

Rozmaite są książki i ro-zmnie są wydawane. Ale zdarzają się wśród nich prawdziwe dzieła sztuki. Teksty, najczęściej poetyckie, drukowane piękną czcionką, na luksusowym papierze, pięknie ilustrowane przez wybitnych artystów same są arcydziełami sztuki. I tak np. w XV wieku została tak luksusowo wydana „Apokalypsa”, do której ilustracje sporządził sam wielki Albrecht Durer.

Książki, będące arcydziełami sztuki, były zazwyczaj wydawane w niewielkim nakładzie o numerowanych egzemplarzach,

bardzo drogie i przeznaczone wyłącznie dla zamożnych bibliofilów.

Pięć lat temu paryski wydawca Gerard Malinguet oglądając takie bibliofilskie wydawnictwa pomyślał, że dobrze byłoby spopularyzować, potanie i udostępnić tym samym książkę — arcydzieła większej ilości czytelników i miłośników pięknej książki. Po myśli polegał na tym, by wydawać serie wykonane techniką offsetową będące albo reprodukcjami wydanych już dawniej luksusowo dzieł, albo nowe jak np. współczesną poezję do których ilustracje zrobił jakiś wybitny artysta. Książki wydawane przez Malingueta mają nakład ok. 3.000 numerowanych egzempla-



Rysunek Picassa do „Niezanego arcydzieła”.



SCÈNE

„ZA NOURICE — HÉROÏDES”

Tu est-il un volé-je tel l'ombre d'une princesse?
A ma lèvre tes doigts & leurs bagues & ceux
De marcher dans un âge ignoré.

II

Le blond torrent de mes cheveux immaculés
Quand il baigne mon corps solitaire le glas.

Henri Matisse. Akwaforta do „Poezji” Mallarmego.

rzy i kosztują od 50 do 64 franków każda. W tej kolekcji o nazwie „Peintres du Livre” ukazało się jak dotąd około trzydziestu tytułów, a projektowane jest wydanie dalszych to-mów przeciętnie czterech rocznie. Spośród książek — arcydzieł będących do-tąd niemal wyłączną własnością bibliofilów wymieńmy przykładowo choćby

„Fausta” Goethego do którego sześć litografii wykonał Eugene Delacroix (rok wydania 1828) czy „Kruk” Edgara Poe ilustrowany przez Edwarda Maneta (1875).

W naszych czasach znako-mitymi ilustratorami książek okazali się Matisse, który m.in. ilustrował „Po-erze” Mallarmego (1932) i Picasso,

Zwoleja

Smutną prawdą jest fakt, że polscy kibice muszą częściej przeżywać gorycz porażek niż cieszyć się z zwycięstw. Jeżeli już nawet ktoś tam wygra, to za parę dni lub tygodni tak się „poprawi”, że momentalnie traci cały kredyt zaufania, wywalczony uprzednio.

Aby nie być gołosłownym, chciałbym przytoczyć tu dwa przykłady. Zaczniemy od kolarstwa. Jak wiadomo polscy kolarze odnieśli piękny sukces na tegorocznym Wyścigu Pokoju, zrywając zarówno w klasyfikacji indywidualnej (Szurkowski) jak i drużynowej. Piękny to był triumf, wywalczony w dobrym stylu i świadczący o dużym talencie i umiejętnościach naszych zawodników. Kiedy minęła pierwsza euforia, uciły fanfary na cześć polskich kolarzy, zaczęto zasta-nawiać się nad szansami naszych zawodników w imprezie mającej największą rangę na świecie, w kolarskich mistrzostwach świata. Komentarze były jednoznacz-

ne — rozpatrywano możliwości zajęcia pierwszego, drugiego, czy trzeciego miejsca przez polskich kolarzy. Zapomniano tylko o jednym, że zawodnicy to nie maszyny, że trwające od stycznia przygotowania do WP z ustawieniem szczytu

Sukcesy i porażki

formy właśnie na maj wyczerpały siły kolarzy, a przecież ci sami zawodnicy mieli brać udział w obu wyścigach. Ale, jak to powiedział mi w rozmowie jeden z trenerów tej dyscypliny sportu, fizyczną niemożliwością jest takie budowanie formy, by osiągnąć dwa jej szczyty w sezonie.

Efekty były bardzo smutne. Przegraliśmy z krete-sem mistrzostwa świata indywi-

dualnie, dostaliśmy ciężki drużynowo, rozwiął się mit o doskonałości polskiego kolarstwa. A przecież nasi trenerzy powinni wiedzieć, że z liczebnej i naprawdę utalentowanej grupy polskich kolarzy można było z powodzeniem stworzyć dwie drużyny, jedną przygotowującą do Wyścigu Pokoju, a drugą do mistrzostw świata. Doszły mnie słuchy, że wia-

czasu nadużywającej kredytu zaufania w społeczeństwie — piłki nożnej. Mecz z Danią nasi piłkarze wygrali 5:0. „5:0 z Danią otwiera nowy etap narodowej jedenastki” — wybitny duży mianownik tytułu rzucał się w oczy czytelnikom „Przeglądu Sportowego”. Otworzyli nowy etap. Trzy dni później w Rostoku w zenujący sposób ponieśliśmy porażkę 0:5 z zespołem NRD, który już trzy razy w historii spotkań międzypaństwowych pokonał nas, cztery razy zremisowaliśmy i z którym tylko dwa razy do Rostocka meczu przegraliśmy po 0:2. Dostać „pięć do kółka” w meczu z zespołem, który do tej pory reprezentował równy z nami poziom — to kleska.

Wtrać tu jeszcze jako ciekawostkę argumentację trenera Konciewicza na konferencji prasowej, zwolanej po porażce w Rostoku. Jak twierdzi selekcjoner przegraliśmy dlatego, że:

— większość zawodników nie jest przygotowana do rozgrywania 2-3 spotkań w ciągu kilku dni;
— zespół ma nieuzasadnione obawy przed jakoby

ostrą grą piłkarzy NRD; — nasi piłkarze wykazują słabą odporność na agresywne krycie;

— poszczególni zawodnicy mają poważne trudności z opanowaniem piłki przy silnym wietrze;

— po utracie drugiej bramki nastąpiło kompletne załamanie psychiczne zespołu.

Wniosek może być tylko jeden — to po co u licha grają oni w piłkę, po co po woluje się ich do reprezentacji? I znowu się należy spodziewać, że wygramy wy-soko z jakimś Luksembur-giem czy innym zespołem klasy poniżej przeciętnej, by w październiku w ważnym spotkaniu z cyklu eliminacji o mistrzostwo Europy przegrać z Albanią.

Wróćmy jednak do tematu. W obu przytoczonych przypadkach ktoś po prostu nie pomyślał. Przygotowania do Wyścigu Pokoju, imprezy skądinąd posiadającej ogromne tradycje, prze-piękne cele i niezłą obsadę przysłoniły mistrzostwa świata, na których ewentualne sukcesy, odniesione przez polskich kolarzy dałyby ogromny efekt propagandowy na całym świecie. Rów-

nież dobór przeciwników naszej narodowej piłkarskiej jedenastki jest, moim zdaniem, bardzo niefortunny, chociaż podejrzewam w tym jakiś ukryty cel. Z jednej strony odnosimy sukcesy, chociaż nie wszyscy zorientowani są w klasie naszych przeciwników, z drugiej jednak ponosimy porażki i to z tymi drużynami, z którymi jeszcze nie tak dawno wygrywaliśmy. Przeciwników powinno się dobierać takich, od których można się czegoś nauczyć, a nie dostawać nauczkę.

Może więc owe dwie porażki w Leicester i Rostoku skłonią odpowiednio władze sportowe zarówno do mądrego planowania przyszłości naszej kadry kolarskiej, jak i odpowiedniego doboru przeciwników dla naszych piłkarzy. Jeżeli chodzi o kolarstwo raczej jestem spokojny, że właściwe wnioski zostaną wyciągnięte. Piłkarzom poradziłbym jednak dobierać przeciwników poniżej przeciętnej europejskiej. Zachwytem na temat pięknej gry naszych piłkarzy nie będzie wtedy końca.

Mieczysław Stolarski



KAMIENIE
OBRAZY

Z GRUBEJ RURY — STRASZNIE JESTEŚMY NERWOWI — UMIEMY PRZESADZAC — „O ARTYKUŁ W TYGODNIKU”... OBRAZ IŁEM 1,5 MILIONA LUDZI? — CO MI WMAWIAJA „KULISY”

Z grubej rury strzelili do mnie „Kulisy” (nr 37). Piszą, że obrażam Czytelników warszawskiego magazynu, a wszystko z powodu felietonu, w którym irytowałem się na publikację „Kiosk z maturami”, mówiącą o łapówkarskich machinacjach w pewnej szkole. Powtarzają nie będąc racji wyłożonych w moim felietonie — „Kulisy” przedrukowały go w całości, więc Czytelnik rzecz ma na talerzu.

„Kulisy” dodają jednak od siebie: „Łódzki publicysta mniej troski poświęcił sprawie, ale za to nie szczędził pouczeń i epitetów „Kulisom” i ich Czy-

telnikom”. No cóż — felieton w całości znajduje się poniżej tych słów — felieton poświęcony jest sprawie a nie „Kulisom” — kto go przeczyta, o tym się przekona. Ale przecież wspominałem o adresacie tygodnika, o wysokim nakładzie, o tym, że dla większości publikacja będzie powodem do krzywdzących uogólnień. Czyż tak nie jest? Sam jestem czytelnikiem „Kulis” jeszcze od czasów, gdy przy tytule widniała winietka „Expressu Wieczornego”, ale wiem, że przy wysokich nakładach i dużej popularności pisma przeważa jednak Czytelnik niewyrobiony.

Niewyrobiony, proszę panów, a nie „półalfabeta, homunculus”, jak piszą „Kulisy” — bo ani takich określeń ani takich sugestii w moim felietonie nie było. Napisałem, że zrytowała mnie publikacja „Kiosk z maturami”. To prawda — jej ton i atmosfera były niedobre, nastawione i w dalszym ciągu twierdziłem, że nie lagodził go redakcyjny przypis na temat „odosobnionego skandalu i troski o dobre imię szkoły”. Z punktu widzenia „warszawskiego” artykułu „Kulisy” był dobrze zrobiony, był niezwykle sugestywny. Ta sugestywność narracji jeszcze bardziej pozwalała Czytelnikowi niewyrobionemu, który stanowi chyba poważny procent ogółu odbiorców pisma, snuć uogólnienia nieprawdziwe i szkodliwe.

Tak się złożyło, że wkrótce potem przeczytałem o podobnej aferze w „Polityce”. Ale był to artykuł napisany z troską, z niepokojem, lecz spokojnie. Po prostu — jego autorką była osoba obiektywna, dziennikarka, a nie

uczeń zlejący — być może uzasadniona — ale zemsta, za owe 10 tysięcy złotych, które kosztowała go matura. „Kiosk z maturami” napisano w oparciu o relację człowieka nieobiektywnego, bo będącego przedmiotem afery. Jeśli nawet fakty przez niego podane są prawdziwe, to atmosfera i ton takiej wypowiedzi czynią z publikacji oręż niebezpieczny.

O to mi szło w felietonie „Ogórki i bezmyślność” i nie sądzę, żeby Czytelnicy zarówno „Kulis” jak i „Od głosów” odczytali moje intencje inaczej. „Kto obroni Czytelników „Expressu Wieczornego” i „Kulis”, którzy zostali obrażeni przez publicystę „Ogłosów” — woła warszawski tygodnik. Ludzie kochani! Strasznie jesteśmy nerwowi. Jeden wpada w szewską pasję, bo mu kazano zapłacić za maturę i ten na pewno ma powody. Drugi czyta te wynurzenia — widzi przesadę, szkodliwość i pisze felieton. Też ma powody, śmiem twierdzić, że uzasadnione. Na koniec redakcja wielkiego magazynu wpada w taką iryta-

cję, że oskarża Jerzego Widoka o obrazę prawie miliona ludzi czytających „Kulisy” — dodając — jakby tego nie było dosyć — jeszcze kilkaset tysięcy osób czytających warszawski „Express Wieczorny”... „Kulisy” postąpiły bardzo elegancko, przedrukowując w całości mój felieton — Czytelnik wniosł wyciągnię sam. Ale ów przedruk jest dość specjalny. Opatrzono go nagłówkiem sugerującym mi brzydkie intencje — opatrzone komentarzem — z takowymi uwagami i jeszcze na dodatek wytłuszczone no dwa zdania. Oto zdanie, w których wg „Kulis” obrażam kilkaset tysięcy ludzi: „Nie jest także dla nikogo tajemnicą, że „Kulisy” adresowane są głównie do Czytelnika, dla którego argument „w gazecie stało” będzie właśnie jedynym powodem dla czynienia krzywdzących uogólnień” (koniec cytatu). I dalej: „Przeciętny Czytelnik „Expressu” i „Kulis” wyżej stawia dobrze zarabiającego taksówkarza niż źle zarabiającego nauczyciela. Dawanie takdemu

Czytelnikowi...” (koniec cytatu).

Dwa zdania — dwa kamienie obrazy. „Kto obroni Czytelników „Expressu Wieczornego” i „Kulis”, którzy zostali obrażeni przez publicystę „Ogłosów”... Co jak co, ale przed sądem, to my umiemy. Obrażać się — także. Jak to pisał poeta?:

„O film panie ministrze obrazili się wachmistrze, o wierz panie generale obrazili się kaprale; o artykuł w tygodniku — ordynansi, panie pułkowniku (...)

„Dalej księża z Plockiego dotknęli są do żywego. Następnie szewcy w Kutnie obrazili się okrutnie.”

W sumie — jak donoszą „Kulisy” — tak gdzieś około półtora miliona osób. Tylko, że ja w to nie wierzę. Myślę nawet, że spośród starych Czytelników „Kulis” obrazili się wyłącznie ci, którzy je redagują.

JERZY WIDOK

Kolekcja klejnotów

Callaghan, słynny detektyw angielski siedział w luksusowym klubie i nudził się.

Szef sali podszedł do stolika. — Panie Callaghan, jakaś kobieta szuka pana, czeka w hallu. Jest czarująca!

— Poproś ją tutaj — zgodził się detektyw. Gdy szef wrócił z kobietą, Callaghan stwierdził, że nie było przesady w jego entuzjazmie. Nieznajoma była piękna i elegancka, jednocześnie czyniła bardzo zmartwioną. Detektyw przywitał się. — Proszę usiąść. Czego się pani napije?

— Pani Callaghan, nie będę piła, jestem bardzo niespokojna. Przyszedłam, aby pan mi pomóc.

— Jakże pani ma kłopoty? Miłość czy pieniądze?

— Jedno i drugie. Nazywam się Auriol Maynard. Nie wiem, czy pan słyszał o kolekcji brylantów rodziny Maynard. Jest obrzydliwej wartości, ubezpieczona na sto tysięcy funtów. Kosztowności te nie mogą być sprzedane, ani komuś podarowane. Właściciel może je tylko użytkować, nosić nawet wszystkie. Po jego śmierci kolekcja przechodzi na najbliższego spadkobiercę. Tę kolekcję pozostawił mi ojciec. Ponieważ w tym czasie nie byłam jeszcze pełnoletnią, więc powierzono ją memu opiekunowi, panu Frisby. Nie chciałabym go oskarżać, ale...

— Ale nie ma pani do niego zaufania, prawda?

— Tak. Wśród kosztowności jest sześć sztuk, które nie należą do kolekcji. Były niegdyś osobistą własnością mojej matki, zapisała mi je w testamentcie. Jestem zadowolona, pragniemy się pozbierać i dlatego chciałabym sprzedać te klejnoty, są warte sześć tysięcy funtów. Lecz za każdym razem, gdy o tym mówię z opiekunem, ten znajduje jakąś wymówkę. Albo klejnoty są u jublera dla ich oczyszczenia, albo inna jakaś przeszkoda. Może je sprzedać?

— Gdzie jest przechowywana kolekcja?

— W domu pana Frisby. W jego bibliotece są dwie kasy pan cerne, klejnoty są w pierwszej. Przed trzema tygodniami szłam na bal, chciałam włożyć naszyjnik. Pan Frisby powiedział, że klejnoty są u jublera. Gdy wróciłam po dwóch tygodniach, tłumaczył, że za-

pomniat kombinację znaków otwierających kasę i że napisał list do fabrykanta, aby mu przysłał specjalistę. Miesiąc temu byłam na przyjęciu u znajomych na wsi. Widziałam tam panią, żonę jakiegoś Argentyńczyka, która nosiła bransoletkę i broszkę z kolekcji.

— Jutro wszystko sprawdzę. Muszę poznać pani opiekuna. A poza tym... mam pewien pomysł!

Trzy dni później Callaghan przybył do Tricot Lodge. Kamerdyner wprowadził go do gabinetu. Pan Frisby siedział przy biurku. Zwrócił się uprzejmie do detektawy: — Proszę, niech pan siada, czym mogę służyć? Dał mi pan telefonicznie nie do zrozumienia, że to jest ważna sprawa.

— Ważna szczególnie dla pana. Doszedłem do wniosku, że mała współpracownica... byłaby pożyteczna tak dla pana jak i dla mnie.

— O co chodzi? — zapytał Frisby zaniepokojony.

— Powiem krótko. Cztery dni temu przysłał do mnie pańska pupilka, Auriol Maynard. Ojciec jej, umierając, powierzył panu kolekcję klejnotów wraz z sześcioma sztukami po matce. Klientka prosiła kilka razy o klejnoty, lecz pan zawsze odmawiał pod jakimś pretekstem. Niedawno była na balu i tam spotkała panią, która nosiła kilka klejnotów z kolekcji Maynard. Przeprowadziłem w tej sprawie badania i dowiedziałem się, że owa pani jest żoną Juana Alvaraza, który handluje brylantami i nie cieszy się dobrą opinią...

Frisby milczał...

— Wydaje mi się — ciągnął dalej detektyw — że pan sprzeda klejnoty Alvarazowi. Jest pan pewny, że Auriol nie gawędzi o tym policji, ponieważ unika skandalu. Ale nie przyszedł panu do głowy, że może zwrócić się do prywatnego detektawy.

— Usłyszałem ciekawe rzeczy — rzekł Frisby. — Ale przypominam sobie, że powiedział pan coś na temat współpracy. Co mi pan proponuje?

— Zraz wyjaśnię. Jak wiadomo życie prywatnego detektawy jest obecnie raczej trudne. W ostatnich czasach nastąpił zastój w interesach. Zwrócić się panu, że w tym tygodniu potrzebuje pieniędzy. W sprawie kolekcji mógłbym dora-

zić moją klientkę, aby wytoczyła panu sprawę o przywłaszczenie bżuterii. Ale mógłbym także wytłumaczyć jej, że się omyliła, że naprawdę pan zapomniał kombinację, lecz fa brykant przysłał panu specjalistę z nowym zamkiem i niedługo może skontrolować zawartość kasy. Co do sześciu sztuk po matce można by powiedzieć, że nie są autentyczne, gdyż matka będąc w trudnościach finansowych, wymieniła je na imitacje, o czym nikt nie wiedział. Powiem także, że ma pan w tej sprawie list matki, który jednak zawiera pewne intymne zwierzenia i dlatego Auriol nie może go czytać.

— Bez wątpienia wszystko udałooby się, gdyby po otwarciu kasy klejnoty w niej się znajdowały! — stwierdził Frisby.

— Oto właśnie moja myśl! Argentyńczyk na pewno jeszcze nie wrócił do kraju. Niech pan od niego wypożyczy klejnoty na kilka dni i włoży je do kasy! Czy to się uda?

— O tak! Z największą łatwością.

— Dobrze. Dziś jest poniedziałek. W najbliższy czwartek doradzę Auriol, żeby przysłał nie spodziewanie do pana. Przyjdziemy razem o godzinie 23 i poprosimy o pokazanie klejnotów. Pan otworzy kasę i wyłoży wszystkie klejnoty. Co do sześciu sztuk po matce, to wyjmie pan imitacje, bo niewątpliwie już dawno je pan zrobił po sprzedaniu oryginałów.

— Skąd pan o tym wie?

— Proste przypuszczenie. Opo wie jej pan historię imitacji, potem wyjdziemy obaj do drugiego pokoju, gdzie pan mi po każe list. Ja wrócę i przedstawię jej treść klientce. Auriol jest osobą delikatną, nie będzie żądała pokazania listu, ma do mnie wielkie zaufanie. Będzie miała wyrzut w stosunku do pana i upłynie wiele czasu, nim znów zażąda klejnotów. A pan może przynieść się za granicę. Czy mój pomysł współpracy jest dobry?

— W pewnym sensie... tak. — Frisby przyjrzał się adwokato- wi. — Ile pan żąda?

— Tysiąc funtów.

— Zgadzą się. Wykonam pański plan bitwy. Przyjdzie tu w czwartek o 22. Klejnoty będą w kasie. Pod koniec tygodnia proszę zgłosić się do mnie po pieniądze.



Była godzina 23 w czwartek, gdy Auriol i Callaghan wychodzili z Tricot Lodge. Wsiadli do samochodu detektawy. Kobieta milczała. Po kilku minutach rzekła: — Czuję się upokorzona, że podejrzewałam opiekuna. Zdumiałam się, widząc wszystkie klejnoty w otwartej kasie!

— Rozumiem panią, a także zdaję sobie sprawę z rozczarowania z powodu owych sześciu imitacji.

— Tak, tym gorzej, że pieniądze są mi bardzo potrzebne.

W sobotę o 9 rano Auriol wpa- dia do gabinetu Callaghana. W rękę trzymała gazetę.

— Czy pan już czytał tę wiadomość? Skradziono kolekcję w kilka godzin potem jak ją zobaczyliśmy!

— Trudno w to uwierzyć — rzekł spokojnie Callaghan. — Widocznie złodziej znał kombinację. Ciekawe, że nawet nie dotknął drugiej kasy pancernej, musiał być dobrze poinformowany... Tak, czy owak — pani na tym zyskuje.

— Nie rozumiem pana.

— Kolekcja była ubezpieczona na sto tysięcy funtów. Towarzystwo wypłaci tę sumę pa ni.

— Co mam teraz czynić?

— Nic! Ja sam pójdę porozmawiać z Towarzystwem Ubezpieczeniowym, a potem zatelefonuję do pani.

W poniedziałek o 11 Callaghan wszedł do gabinetu dyrektora Vayle i oznajmił: — Czy tałem wasze ogłoszenie w gazecie w sprawie kradzieży kolekcji Maynard. Obiecałście dziesięć tysięcy funtów nagrody za informację, która wam umożliwi wi odzyskanie klejnotów. Wiem coś na temat kradzieży i sądzę, że mógłbym zagwarantować, iż wasze Towarzystwo nie poniesie żadnej szkody. Ale pan musi wyłożyć mi zaraz obiecana nagrodę bez żądania wyjaśnień. Zapewniam pana, że nie straci pan ani grosza z tej sumy!

Vayle zamyślił się. — Gdybym miał z kimś innym do czynienia, nie zgodziłbym się. Ale znamy pana dobrze.

Po pięciu minutach detektyw wychodził z biura mając w kieszeni czek na dziesięć tysięcy funtów.

W środę rano Callaghan, Auriol i przedstawiciel Towarzystwa Ubezpieczeniowego przybyli do Tricot Lodge. Pan Frisby przywitał ich mocno zdziwiony.

— Proszę pana — zaczął detektyw — jestem przekonany, że sprawa kradzieży może być załatwiona w sposób przyjaźnielski, bez skargi sądowej. Jeżeli pan zachowa się jak należy,

— O co panu chodzi? — zapytał wystraszony Frisby.

— Przejdźmy do biblioteki, za raz się pan dowie.

Gdy gospodarz zamknął za sobą drzwi, Callaghan rzekł: — Przypomnijmy całą sprawę. Sprzedał pan kolekcję Maynard swemu przyjacielowi Argentyńczykowi. Potem kazalem panu wypożyczyć kolekcję na kilka dni, aby móc ją przedstawić pani Auriol. Przybyliśmy tu



we dwoje i zobaczyliśmy klejnoty. Auriol uspokoiła się, lecz pan wiedział, że na tym się nie skończy. Wynajął więc pan złodzieja, który wszedł tu o trzeciej w nocy, po usunięciu sztab z okna, otworzył kasę i wyjął klejnoty. Następnego dnia poinformował pan policję o kradzieży. Ale nie powiedział pan, że klejnoty nie opuściły tego domu. Lecz ja mam znajomości wśród przestępców i za sto do larów dowiedziałem się, gdzie obecnie znajduje się kolekcja Maynard.

— Pan oszalał! — krzyknął czerwony Frisby. — Więc gdzie według pana znajduje się kolekcja?

Callaghan wskazał palcem kąsę pancerną. — Proszę ją otworzyć!

Frisby bez słowa otworzył kasę.

Detektyw podszedł do kasy, odsunął na bok paczkę różnych maszynopisów i wyciągnął ze spodu cztery skórzane woreczki, które położył na stole. Zajrzał do wnętrza i krzyknął radośnie: — Oto słynna kolekcja Maynarda!

— Okropnie! — jęknął Frisby

— Nic o tym nie wiedziałem!

— Byłem pewny, że pan się nie przyzna. Lecz panna Maynard nie chce skandalu i pragnie załatwić wszystko polubow-

nie. Towarzystwo Ubezpieczeni-

we dało mi dziesięć tysięcy funtów za informację umożliwiającą odzyskanie klejnotów. Jeżeli pan zwróci Towarzystwu te pieniądze, policja nie zostanie zawiadomiona. Kolekcję zdeponujemy w sejfie bankowym. Ma pan pięć minut do namyślenia!

W piątek rano zjawila się w biurze detektawy Auriol Maynard. — Był pan wspaniały — zawołała radośnie. — Mój opiekun wypłacił Towarzystwu dziesięć tysięcy funtów. Cieszę się, że je pan otrzymał!

— Chwileczkę! — przerwał Callaghan. — Historia z imitacją klejnotów matki była fałszywa. Sprzedała je nie pani matka, lecz Frisby. Nim pani stała wyjdzie dam pani czek na sześć tysięcy funtów, z tych dziesięciu, które otrzymałam. Wystarczą mi jako honorarium pozostałe cztery tysiące. Jeszcze jedno wyjaśnienie. Wiedziałem, że po naszej wizycie we dwoje Frisby zwrócił klejnoty Argentyńczykowi. Zorganizowałem więc kradzież! Gdy Frisby otwierał kasę, zapamiętałem kombinację znaków. Natychmiast poprosiłem mego przyjaciela kasiera, aby przelozył klejnoty z pierwszej kasy do drugiej i ukrył je pod papierami. Teraz wszyscy są zadowoleni. Czy przyjmie pani moje zaproszenie na kolację?

OPRAC. A. S.



Lewym okiem

POLSKI MORUS

O raketach kosmicznych wiemy już, że jednym z pierwszych ich konstruktorów był Polak z pochodzenia, Konstanty Ciolkowski. O filmie — że mało bra kowało, a wynalazby go nasz rodak, Aleksander Prószyński. O malarstwie abstrakcyjnym, że wymyślił je Polak, Malewicz. Czyżby wśród tych, którzy próbowali konkretyzować marzenia o przyszłym, lepszym świecie, wizjonerów, utopistów, Morusów i Campanellich nie było Polaka?

Był, nie martwicie się. Inżynier i ekonomista, redaktor pisma dla rolników i oficer księcia Józefa, Wojciech Gutkowski spod Garwolina Przedłożył on w 1817 roku Towarzystwu Przyjaciół Nauk w Warszawie, którego był członkiem, rękopis powieści fantastycznej pod tytułem „Podróż do Kalopei do kraju najszczęśliwszego na świecie, gdzie bez pieniędzy i bez własności, bogactwa, przemysł, światło i dobre wszystkich mienie jak najwięcej wygórowało”.

Złożono ten rękopis w 1817 roku, i już w 1956 — a więc zaledwie półtora wieku później — ukazał się drukiem. Jest to dowód, że niesłusznie narzekają nie którzy dzisiejsi autorzy na bardzo długie cykle produkcyjne w wydawnictwach. Przeciwnie, cykle są co raz krótsze i już zbliżają się do dwóch lat. Powieść Gutkowskiego wydano w 2 tysiącach egzemplarzy, z czego trzy czwarte zapełnia obecnie półki księgarni z towarami przecenionym po 5 złotych jak leci. Polski Verne!

„Podróż do Kalopei” nie mogła ukazać się od razu, bo — jak o niej pisał recenzent, członek Komisji Wydawniczej, Stanisław Węgrzecki — „...bez różnicy stanów, bez duchowieństwa niepodobna sta nowić rząd”. A Kalopea rządzona była bez różnicy stanów, zaś co do duchowieństwa artykuł 74 Kon stytucji tego państwa stanowił jednoznacznie: „Za kazuje się na wieczne czasy, aby rząd Kalopów nie ważył się nigdy dobierać oddzielnych urzędników ku oddawaniu tylko części Najwyższemu służących. Kalop wychodzący ze szkół i obywatelom naszego państwa zostający, między innymi i na to przysięgać będzie, jako nie dopuści, aby oddzielni urzędnicy religijni wyznaczani byli”.

Kalopea jest szczęśliwym państwem bez własności i nawet bez pieniędzy. Co to znaczy szczęśliwym kra jem? Już poza tą powieścią, w jednym ze swych artykułów w „Dzienniku Ekonomicznym” pisał Gutkowski: „Szczęśliwość kraju wypływa z uszczęśliwienia jego obywateli, uszczęśliwienie zaś obywateli tam mo że mieć miejsce, gdzie nie zbywa na sposobach łatwego w każdym czasie nabycia rzeczy w życiu nieuchronnie potrzebnych”. Czy w zdaniu tym nie tkwi — inaczej wyrażona — myśl, że „był kształtuje świat domość”?

Kalopowie są dostojnie ubrani, często uczują, organizują wielkie festyny, mieszkają w dwu- i trzypokojowych mieszkaniach, ładnie umeblowanych. W niedzielę (co piątą dzień!) mają do dyspozycji konne powozy do przejażdżki z rodziną. Wszyscy kończą szkołę. Ale żyją w otoczeniu wrogim, muszą się zbroić. Są uzbrojeni lepiej, niż ktokolwiek na świecie. Mają wieże żelazne, zaopatrzone w „taki mechanizm w środku, iż z niewielką siłą bez sprzężaju po suwają się podług upodobania. Opatrzone są dwudzie stu rzędami dziur naokolo; w jeden rząd takowych dziur zarazem tyleż rurek z łatwością usunąć da się, które także razem za pomocą mechanizmu, nabijają się, a po kilka strzelają lub razem wszystkie”. Oka zuje się więc, że Kalopowie mają czołgi z dwudziestoma sprzężonymi karabinami maszynowymi! Bez sprzężaju! Potęgaj!

Mają też „ptaki obrzymiej wielkości, strzelające na ziemię i w rozmaite strony szybko uwiązujące się. Są to powietrzne czaty; lubo sztuka latania na skrzydłach u Kalopów nie jest jeszcze zupełnie wydoskonalona, tak aby stała się powszechną, jednak kilkadziesiąt mają już ręcznych latawców”.

To zostało napisane w 1817 roku, na długo przed Verne'm. Wszyscy uczniowie kończący szkołę średnią, słyszeli o głupawych wierszykach księdza Baki. Żaden nie słyszał o Wojciechu Gutkowskim i o polskiej wizji ulepszonego świata z początków dziewiętnastego wieku. Powiadacie, że nazwa owego szczęśliwego kraju dziwna jakaś? Wcale nie dziwna Kalop to — Polak, czytany na wspan, Kalopea to państwo Polaków.

CWIEK